M. B. im. L. W. w Łodzi

W numerze: JAN KOPROWSKI *Piękna sztuka przekładu* ● TERESA WOJCIECHOWSKA *Trzy pary butów dla Polaka* ● KAROL BADZIAK *Gracze* ● JAN SAWICKI *Kraina ciekawych ludzi* ● *Konkurs* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Nowela kryminalna*

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

18. X. 1970 r.
42 (674)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

CZY ZNASZ ARCHITEKTURĘ ŁODZI?

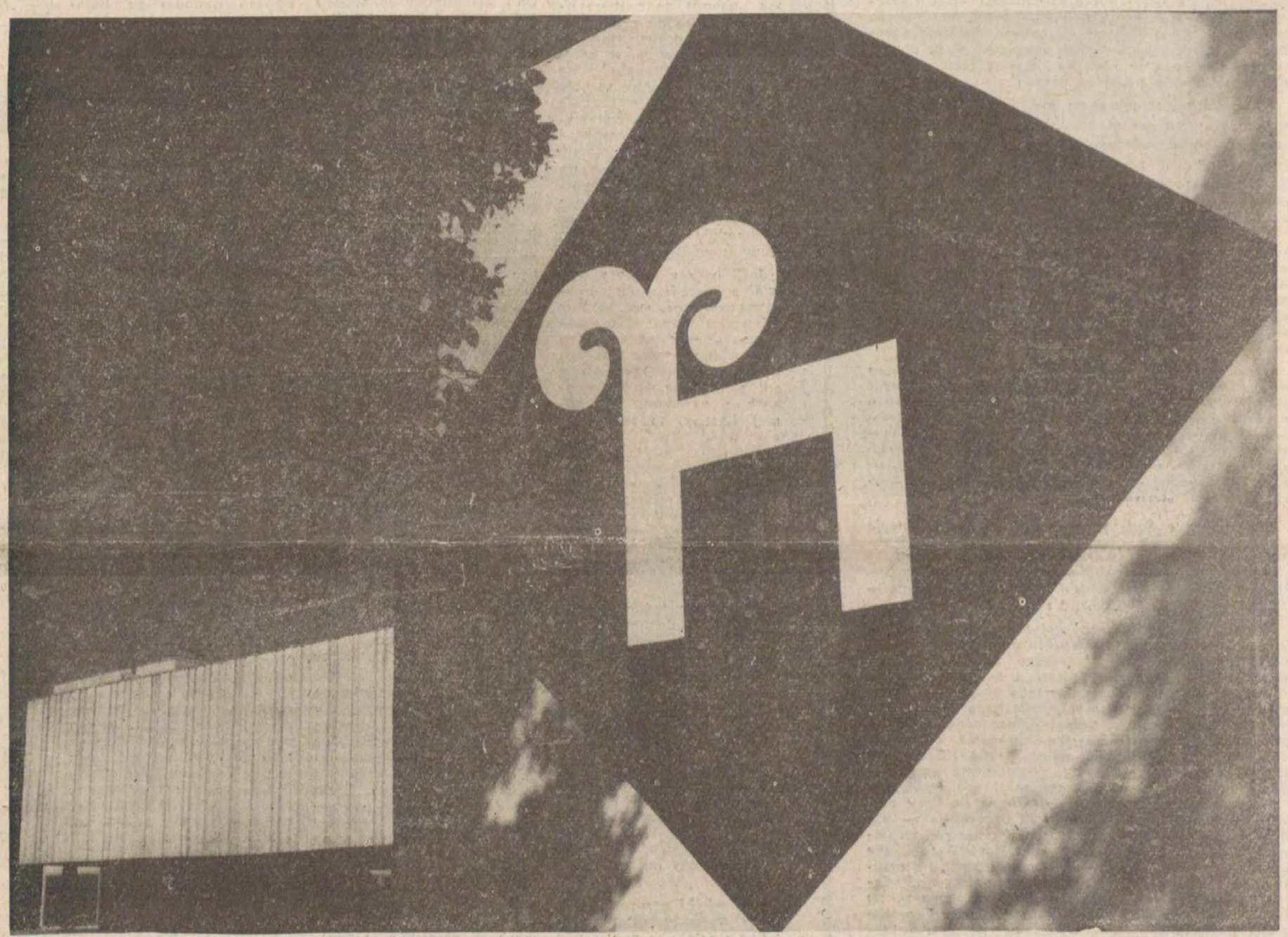

Fot.: W. Parys

KRYSTYNA KARDYNI-PELIKANOVA

Jan Amos Komenský nauczyciel narodów

W bieżącym roku mija 300 lat od śmierci wielkiego czeskiego myśliciela, filozofa, polihistora, językoznawcy, kartografa, głównego reprezentanta czeskiej kultury XVII wieku, politycznego rzecznika i przywódcy ideowego Braci Czeskich a przede wszystkim: założyciela nowoczesnej pedagogiki. Dla uczczenia tej rocznicy, dla uczczenia Jana Amosa Komenskiego, UNESCO ogłosiło rok obecny Międzynarodowym Rokiem Edukacji. Warto więc przypomnieć pewne fakty z życia i twórczości wielkiego pedagoga już choćby dlatego, że życie jego, ściśle uwikłane w burzliwe wypadki historyczne, jakich wiek XVII nie skąpił swym współczesnym, pełne antynomii, tragiczne i zwycięskie w swych wielkich osiągnięciach naukowych, jest zwierciadłem owych odległych czasów. Ale my mamy specjalne powody, by wracać myślą do postaci Komenskiego: przecież twórca „Wielkiej dydaktyki" losy swoje związał na wiele lat z losami polskimi, przecież to na naszej ziemi — w Lesznie — powstały główne pomysły pedagogiczne i filozoficzne Komenskiego, to tutaj rozpoczął swą działalność reformatora szkolnictwa, tutaj stworzono mu warunki do konfrontacji idei z rzeczywistością.

Urodził się na Morawach w 1592 roku w rodzinie młynarza. W 13 roku życia stracił rodziców i odtąd losami jego kierowali Bracia Czescy. Idee czeskiego husytyzmu wchłonął w siebie głęboko, jego późniejsza działalność z nich właśnie czerpała swe soki.

Z rozdarcia cechującego wiek XVII rodziły się tęsknoty za nowym porządkiem, nowym urządzeniem świata, za sprawiedliwością. Te marzenia stały u kolebki ówczesnych utopii (przypomina się tu Tomasso Campanella i jego wizja doskonałego społeczeństwa, zamknięta w „Państwie słońca", czy Francis Bacon z propozycją „Nowej Atlantydy").

Komensky nie stał ponad sprzecznościami szarpiącymi jego współczesnych. On, późniejszy twórca racjonalnego systemu wychowawczego, autor reform szkolnictwa, którym dzisiejsza pedagogika, metodyka nauczania ma tak wiele do zawdzięczenia, że aż mu tytuł „nauczyciela narodów" nadali potomni, mędrzec propagujący wiedzę encyklopedyczną, otwartą i przystępną każdemu bez wyjątku członkowi społeczeństwa — na swą wędrówkę życiową wybrał się pod wpływem nie racjonalnego obrachunku, lecz... proroctwa.

Na skutek klęski pod Białą Górą (1620) i zwycięstwa kontrreformacji dysydenci czescy stanęli wobec alternatywy: albo zmuszeni byli przejść na katolicyzm, albo czekało ich wygnanie. Wielu — wśród nich Komensky — wybrało możliwość drugą, licząc na zmianę w przyszłości mapy politycznej Europy, na klęskę Habsburgów i powrót do kraju. Leszno jako cel wędrówki wskazała Komenskiemu i grupie egzulantów czeskich, którym przewodziła uchodząca za jasnowidzącą Krystyna Poniatowska, córka polskiego szlachcica i duchownego Braci Czeskich, działającego w Czechach. Trzeba przyznać, że „wieszczka" wskazała kierunek właściwy. Leszno przygarnęło dwie fale emigracyjne Braci Czeskich, udających się pod wielmożną opiekę Rafała Leszczyńskiego, wojewody bełzkiego. Zresztą samo miasto miało z przybycia doskonałych czeskich rzemieślników profit niemały, toteż nic dziwnego, że jak powiada kronikarz miasta „tak wzmogła się tutaj ludność, rzemiosła, handel, religia, że dziwną jakąś pięknością Leszno wszystkie inne miasta Polski w tyle pozostawiło". Emigranci czescy stworzone im warunki wysoko sobie cenili, a sam Komensky Wielkopolskę nazwał drugą ojczyzną Czechów.

Z przybyciem swoim do Leszna nawiązał więc romans z Polską, nie grzeczny, książkowy, ale na miarę swych czasów zmiennych, pulsujący odmianami uczuć, od gorącej miłości, która podyktowała powyżej cytowane jego zdanie — aż po nienawiść niemal, o której za chwilę.

W Lesznie objął Komensky kierownictwo szkoły średniej, założonej przez Leszczyńskich. Tu wprowadzał swe reformy, sprawdzał w praktyce pomysły, drukował swe dzieła. Tu powstała główna jego praca teorteyczno-pedagogiczna „Didactica magna". Światową sławę przyniósł mu napisany tutaj podręcznik nauki języków obcych, w którym po raz pierwszy zastosowano konsekwen-

Dalszy ciąg na str. 3

ZE ŚWIATA

Tym razem nie spełniły się oczekiwania — wcześniej niż można było sądzić, poznaliśmy nazwisko kandydata na prezydenta ZRA. Na nadzwyczajnej sesji parlamentu, która odbyła się 7 bm., przyjęto kandydaturę Anwar el Sadata. I to przyjęto ogromną większością głosów — 353 wobec 360 możliwych. Ustalono również — zgodnie z procedurą wyborczą, o której pisaliśmy w ub. tygodniu — datę referendum: 15 października. Tak szybkiego terminu nie oczekiwano, sądzono raczej, że do referendum minie 40—60 dni.

Znamy już także zapewnienie Sadata, że będzie w pełni kontynuował politykę Nasera. Zapowiedział on prowadzenie walki o wyzwolenie wszystkich arabskich terytoriów zagarniętych przez Izrael w 1967 roku. Wskazał na wrogów Arabów: Izrael, międzynarodowy syjonizm, imperializm. Podkreślił potrzebę kontynuowania walki o jedność narodu arabskiego i przestrzeganie zasad polityki niezaangażowania. Nasza przyjaźń ze Związkiem Radzieckim i poparcie narodów socjalistycznych — dodał przy tym — są w całkowitej zgodzie z tą polityką. Zapowiedział wreszcie stanowczą obronę zdobyczy narodu.

W swoim wystąpieniu, na posiedzeniu Zgromadzenia Narodowego dał jednocześnie do zrozumienia, że nastąpi podział władzy. Komentatorzy zagraniczni przepowiadają w związku z tym utworzenie kolektywnego kierownictwa, a więc mianowania także premiera i przywódcy partii.

Kim jest Anwar el Sadat?

Przede wszystkim jest jednym z najstarszych i najbliższych współtowarzyszy Nasera. Razem ze zmarłym walczył przeciwko reżimowi króla Faruka. Po obaleniu monarchii, przez 18 lat sprawowania władzy przez Nasera, Sadat zajmował wiele odpowiedzialnych funkcji, m. in. dwukrotnie przewodnicząc Zgromadzeniu Narodowemu. W ub. roku mianowany został wiceprezydentem.

Agencje zachodnie określają Sadata jako stojącego „na lewo od centrum", zawsze wypowiadającego skrajniejsze poglądy niż Naser. Piszą o jego zdecydowanie antyimperialistycznym nastawieniu i wrogości wobec Stanów Zjednoczonych, które są główną przyczyną wszelkiego zła na Bliskim Wschodzie. Podkreślają też walory osobiste: bezpośredniość i duże zdolności oratorskie, umiejętność współdziałania z kolektywem i konsultowania każdej ważniejszej decyzji ze swym otoczeniem.

Desygnowanie Sadata na prezydenta ZRA zbiegło się w czasie z gotowością, wyrażoną przez ZRA, przedłużenia rozejmu. Można to uznać za prognostyk, że i w tej części — gotowości znalezienia politycznych, pokojowych rozwiązań konfliktu bliskowschodniego — linia Nasera będzie jednoznacznie kontynuowana.

Jest to tym ważniejsze, że dotychczas na drodze politycznego uregulowania konfliktu nie poczyniono żadnego kroku. Pośrednie kontakty zainteresowanych stron, zaledwie zapoczątkowano, a już zostały przez Tel Awiw zerwane. Misja Jarringa znalazła się więc w impasie. Dzieje się to wszystko przy wtórowaniu polityce Izraela przez Stany Zjednoczone. Ostatnio zainspirowano tam oszczerczą kampanię przeciwko ZSRR jakoby zainstalował on w strefie Kanału Sueskiego wyrzutnie rakietowe, obsługiwane przez radziecki personel. Rozpowszechnianie tych insynuacji ma dostarczyć Izraelowi argumentu do dalszego blokowania pokojowych rozmów. Równocześnie — jak podkreśla ogłoszone ostatnio oświadczenie radzieckiego MSZ — USA przerzucają — na Morze Śródziemne wciąż nowe okręty wojenne i powzięły decyzję o przekazaniu Izraelowi kolejnej partii samolotów „Phantom", a także o udzieleniu nowego kredytu na zakup sprzętu wojskowego. Ta sytuacja nie rokuje możliwości podjęcia skutecznych rozmów, w wyniku których mogłoby nastąpić trwałe przywrócenie pokoju na Bliskim Wschodzie.

Ten rejon świata znów zajął nam wiele miejsca w komentarzu, ograniczając tym samym możliwość pełniejszego omówienia co najmniej trzech innych, zasługujących na uwagę Czytelników, wydarzeń. Chodzi tu o przemówienie Nixona przed kamerami TV na temat Indochin, wizytę przez. Pompidu w ZSRR oraz o VI rundę rozmów Polska — NRF. Z konieczności więc powiemy o nich w telegraficznym skrócie.

Prezydent USA — wobec nowej inicjatywy TRR Wietnamu Południowego na konferencji paryskiej — uznał za słuszne zgłosić pewne swoje propozycje. Jest w nich mowa o gotowości przerwania ognia w całych Indochinach, zwołaniu pokojowej konferencji — na wzór genewskich, możliwości wycofania wojsk USA z Wietnamu Płd., zwolnieniu przez obie strony jeńców wojennych... Jest jednak w nich także kategoryczne odrzucenie żądania delegacji TRR wyeliminowania z przyszłych rozwiązań politycznych (chodzi o powołanie rządu koalicyjnego) kilku czołowych przedstawicieli reżimu sajgońskiego.

Wizyta prezydenta Francji — Pompidou w ZSRR obserwowana jest głównie pod kątem problemów europejskich, bliskowschodnich i stosunków bilateralnych. Zauważyć trzeba zwłaszcza gotowość Związku Radzieckiego do ściślejszych konsultacji politycznych z Francją oraz pewną „pozytywną ewolucję stanowiska Francji wobec przygotowań do europejskiej konferencji nt. bezpieczeństwa i współpracy.

VI runda rozmów Polska — NRF przyniosła kolejny postęp, choć nie usunęła jeszcze wszystkich trudności w przygotowaniu tekstu układu. Prace będą więc kontynuowane i — być może — sfinalizowane zostaną w listopadzie, w czasie pobytu w Warszawie min. Scheela. W kołach politycznych Bonn mówi się o tym z ostrożnym optymizmem, podkreślając, iż pomyślny wynik warszawskich rozmów Scheela umocniłby również pozycję jego partii.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

Polityka z ambony

„FRANKFURTER RUNDSCHAU" — FRANKFURT

To, na co pozwala sobie prawicowe skrzydło hierarchii katolickiej w zachodnich Niemczech w swych polemicznych wystąpieniach przeciwko rządowi Brandta, po podpisaniu porozumienia radziecko - zachodnioniemieckiego, przechodzi wszelkie pojęcie.

Czego tutaj nie ma: bajdurzenie o „sprzedajnej wschodnio - prosocialistycznej polityce", która „wyprzedaje nas Sowietom", ataki na plany reform, które są oceniane nie inaczej, jak „powrót do barbarzyńskiego sposobu myślenia", ministrów porównuje się do przestępców, a w ogóle „nad krajem unosi się smrodliwy zapach rozkładu". Te wszystkie brednie kończy otwarte nawoływanie do „zimnej wojny" i rozpalanie antykomunizmu.

Do tej kampanii włączyła się również gazeta „Deutsche Tagespost" częstując swych czytelników tzw. „wschodnio - politycznym słownikiem Bonn".

Jeśli bońscy politycy mówią o rozładowaniu międzynarodowym, to według „słownika" oznacza to „zaprzepaszczenie interesów narodowych na rzecz Związku Radzieckiego". Gdy mówią oni o przyjaznych stosunkach z narodami Wschodniej Europy, to oczywiście należy to rozumieć jako „spisek z komunistycznymi wodzirejami". Przy sposobności gazetka ta nazwała zmarłego niedawno portugalskiego dyktatora „ideałem katolickiego polityka".

Gazety wydawane pod okiem biskupów: Grabera i Hofmana usiłują sugerować swych bawarskich czytelników, iż „w oczach wielu polityków Zachodu" NRF przeistoczyła się „w konia trojańskiego, pozostającego na służbie europejskiej polityki ZSRR". Przywódca Unii Chrześcijańsko-Społecznej — Strauss, w specjalnym wywiadzie udzielonym przedstawicielom tych gazet, podkreślił, iż „uratować kraj od katastrofy" może tylko koalicja CSU — CDU. Wywiad Straussa zamieściły one na pierwszych stronach tuż obok rubryki „Słowo Boże"...

Niedawno pojawiła się nowa gazeta: „Neue Bildpost", będąca niejako konkurentem springerowskiej „Bild". Całe stosy tej gazety rozkłada się w kościołach, w pobliżu chrzcielnic, żeby wierni mogli co pewien czas przeczytać wstrząsające tytuły w rodzaju: „W niebezpieczeństwie własność i życie?". I dalej, żeby się mogli dowiedzieć, iż obywatelowi NRF grozi niebezpieczeństwo zarówno z wewnątrz, jak i z zewnątrz"...

Ludnościowe problemy Indii

„WELT AM SONNTAG" — HAMBURG

„Wystarczy jedno, dwoje dzieci w rodzinie!" — tak brzmi hasło zakrojonej na wielką skalę kampanii na rzecz ograniczenia urodzin w Indiach.

Indie, ze swoją przeszło półmiliardową ludnością, stoją w obliczu demograficznej eksplozji. Każdego roku rodzi się tutaj ponad 13 milionów dzieci i jeśli przyrost naturalny będzie postępował w tym tempie, to w początkach XXI wieku ludność Indii przekroczy miliard mieszkańców!

Tak wielki przyrost naturalny w kraju, zajmującym jedno z ostatnich miejsc pod względem wysokości dochodu na głowę mieszkańca może się okazać nader groźny dla całej gospodarki narodowej kraju. (Jak wiadomo 8 Hindusów na 10-ciu zarabia rocznie niewiele ponad 300 rupii tj. około 40 dolarów). Jak obliczają eksperci, 13 milionów nowych obywateli każdego roku wymaga dodatkowo około miliona ton żywności oraz ogromnej ilości przeróżnych przedmiotów codziennego użytku.

Jeszcze całkiem niedawno przeżywały Indie groźny kryzys żywnościowy i dopiero tego roku osiągnęły rekordowy poziom wykonania swego programu produkcji zbóż — 100 milionów ton. Coraz szybciej rozwija się również przemysł, jednakże jego wyrobów wciąż jeszcze brak na rynku wewnętrznym. Indie importują znaczne ilości towarów przemysłowych i żywności. I nie jest rzeczą przypadku, że wielu czołowych ekonomistów hinduskich wyraża zaniepokojenie, iż tak ogromny przyrost naturalny będzie coraz bardziej uzależniał Indie od kapitału zagranicznego.

Wielokierunkowy program ograniczania liczby urodzin, konsekwentnie wykonywany w ciągu szeregu lat, wydaje już pierwsze owoce. Według oficjalnych danych, od roku 1965 do roku 1969 przyrost naturalny zmniejszył się z 41 do 39 dzieci na 1000 mieszkańców. Jeśli w roku 1980 — mówią statystycy — przyrost ten spadnie do 17 dzieci na 1000 mieszkańców, a w przeciągu następnych lat dwudziestu zmniejszy się jeszcze do 12 na 1000, to i tak w wiek XXI wkroczą Indie z imponującą liczbą około 870 milionów mieszkańców...

Strategia śmierci

„MAINSTREAM" — DELHI

Plany podporządkowania narodów Indochin interesom wielkiego kapitału USA zawsze się znajdowały w centrum uwagi rządów Eisenhowera, Kennedy'ego, Johnsona. Znajdują się i w programie rządów Nixona. Wojska amerykańskie nadal pozostają w Południowym Wietnamie. Już 14 lat trwa „osobliwa" wojna przeciwko narodowi Laosu. 30 kwietnia Nixon wydał wojskom amerykańskim rozkaz wtargnięcia do Kambodży, ale cały świat wie, iż dokonany tam przewrót w dniu 18 marca był dziełem Pentagonu.

Od końca lat 50. CIA i jej uzbrojona pięść, tzw. siły specjalne („zielone berety"), organizowały i zaopatrywały w broń grupy Khmerów w Południowym Wietnamie i Syjamie, przygotowując ich do obalenia rządu księcia Sihanouka oraz do wojny z Narodowym Frontem Wyzwolenia Południowego Wietnamu. Natychmiast po dokonaniu przewrotu, USA wysłały tysiące tych najemników do Phnom Penh. Obecny poważny kryzys w Kambodży jest konsekwencją systematycznego dążenia Stanów Zjednoczonych do przekształcenia tego kraju w kolonię nowego typu, w wojenną bazę, która byłaby ogniwem w strategicznym łańcuchu USA, opasującym Azję Południowo-Wschodnią.

Mimo mnóstwa deklaracji Nixona o „deeskalacji", wojna w Indochinach rozprzestrzenia się od czasu, gdy doszedł on do władzy. Wybory prezydenckie odbył Nixon pod hasłem: „Wywalczymy sprawiedliwy pokój!" Jak jest w rzeczywistości mówią o tym fakty pochodzące ze źródeł, których podważyć nie sposób ani z prawa, ani z lewa. Oto one:

POŁUDNIOWY WIETNAM

3.900 mil kwadratowych całkowicie spustoszonych bombami i herbicydami (środki chemiczne — red.), co stanowi, skromnie oceniając, 6,25 procent terytorium kraju („New York Times" 6. XII. 1969 r.).

Wietnamki rodzą dzieci — potworki. Te wrodzone kalectwa są spowodowane szkodliwym działaniem defoliantów — środków chemicznych o różnorodnym składzie („Scientific Research", listopad 1969 r.).

W wyniku nalotów bombowców B-52 ziemia jest potwornie zryta — 3,5 miliona lejów do 10 m średnicy i 8 m głębokości. Leje są wypełnione cuchnącą wodą i roją się od malarycznych komarów oraz innych owadów („Nation", 29 kwietnia 1969 r.).

LAOS

Wrzesień 1969 r.: 3 tysiące nalotów powietrznych w ciągu miesiąca.

Grudzień 1969 r.: 12 tysięcy nalotów powietrznych w ciągu miesiąca.

Styczeń 1970 r.: 20 tysięcy nalotów w ciągu miesiąca. („Far Eastern Economic Review", styczeń 1970 r.).

KAMBODŻA

Czerwiec 1969 r.: Rząd Kambodży składa skargę, iż defolianty, zrzucane z samolotów w Południowym Wietnamie, przynoszą również duże szkody kambodżańskiej gospodarce rolnej (sprawozdanie grupy pracowników gazety „New York Times", wysłanych do Kambodży w celu dokonania śledztwa na miejscu).

Styczeń 1970 r.: W wyniku rozpylania herbicydów, we wschodnich rejonach Kambodży uległo zniszczeniu 173 tysiące drzew kauczukowych na powierzchni 38.800 akrów. W prowincji Kompong Tiam plony zniszczono niemal w całości. Straty w drzewach kauczukowych ocenia się na 11 milionów dolarów („New York Times", styczeń 1970 r.).

PÓŁNOCNY WIETNAM

Od lutego 1965 r. do sierpnia 1968 r. bombowce B-52 wykonały 100.000 lotów bojowych, każdy samolot zrzucił co najmniej 8 ton bomb (Oficjalne dane Pentagonu).

Listopad 1968 r.: Stany Zjednoczone podały do wiadomości plan działań wojennych, z których wynika, iż amerykańskie lotnictwo wojskowe zwiększy swe uderzenia bojowe aż trzykrotnie.

Maj 1970 r.: Minister obrony Laird grozi wznowieniem nalotów bombowych na DRW. Według informacji z Hanoi ponad sto samolotów amerykańskich bombardowało gęsto zaludnione rejony kraju, powodując liczne ofiary w ludziach.

W oswobodzonych rejonach Laosu są zbombardowane wszystkie domy mieszkalne. Na Laos zrzucono więcej bomb, aniżeli na Niemcy przez cały czas trwania II wojny światowej. Na jednej trzeciej terytorium kraju, znajdującego się pod kontrolą rządu w Vientiane, mieszkańców spędzono do tzw. „stref dobrobytu", gdzie znajdują się oni pod okiem oddziałów wojskowych, najemników i „zielonych beretów".

Niedawno, autorowi tego artykułu udało się odwiedzić Laos w składzie delegacji Ogólnoświatowej Rady Pokoju. Kraj jest dosłownie zryty bombami. W oswobodzonych rejonach, kontrolowanych przez Patriotyczny Front Laosu nie ma nawet śladu po miastach i wsiach. Ludzie gnieżdżą się w pieczarach lub ukrywają się w nieprzebytych dżunglach. Amerykańskie samoloty latają nad drogami i strzelają do wszystkiego, co się tylko rusza...

Czy znasz architekturę Łodzi?

Publikujemy dziś na pierwszej stronie kolejne zdjęcie w naszym konkursie. Zadanie dla naszych Czytelników jest proste — jaka to budowa?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: Łódź, „Odgłosy", Piotrkowska 96 — tylko na kartkach pocztowych. Konkurs trwa osiem tygodni, ale odpowiedzi można nadsyłać co tydzień.

Na naszych Czytelników czekają nagrody w postaci bonów towarowych wartości:

I nagroda — 1500 zł
II nagroda — 1000 zł
III nagroda — 700 zł

oraz pięć wyróżnień w postaci wydawnictw albumowych.

● Zewsząd o wszystkim ●

Jan Amos Komenský nauczyciel narodów

Dalszy ciąg ze str. 1

tnie metodę poglądową w nauczaniu. Podręcznik ów — „Janua linguarum reserata", wydany w roku 1631, już dwa lata później wyszedł w przekładzie polskim jako „Drzwi języków otworzone". Był on wraz z późniejszym „Światem w obrazach" („Orbis pictus") triumfem przeświadczenia autora o ścisłym związku między językiem, pojęciem a rzeczą. Podręczniki Komenskiego renesans swój w Polsce przeżyły w wieku XVIII, a później, zmienione w podręczniki nauki żywych języków obcych, wychodziły pod nazwą „Nowego Komeniusza" aż po późne lata wieku dziewiętnastego.

Komensky, w czasie pobytu w Polsce, zaznajomił się dokładnie z kulturą i literaturą polską. Opanował język polski, podziwiał zwłaszcza utwory Mikołaja Reja i Jana Kochanowskiego, a pieśń poety czarnolaskiego „Czego chcesz od nas, Panie" przełożył udatnie na czeski i włączył do opracowywanego dla Braci Czeskich kancjonału.

Ale lata spędzone w Polsce, choć owocowały poważnymi dziełami, nie były jednak wyłącznie latami spokoju i radosnej twórczości naukowej. Były to przecież czasy rosnącej w znaczenie kontrreformacji, a jednocześnie dobą „potopu" szwedzkiego. Jan Amos Komensky, duchowny Braci Czeskich, przywódca ideowy egzulantów czeskich, bezkompromisowy przeciwnik Habsburgów i papieża znaleźć się musiał w samym centrum tarć. Nie był typem eremity, wydarzenia nie przepływały obok niego, przeciwnie sam się w nie żywo angażował, co nie pozostało bez wpływu na jego losy osobiste.

Jako przeciwnik Habsburgów i papiestwa musiał Komensky obracać oczy w stronę państw i władców protestanckich: Anglii, a przede wszystkim Szwecji. Właśnie ze Szwecją łączył nadzieje na wyzwolenie Czech. Nic dziwnego zatem, że (zwłaszcza iż pomoc Leszczyńskiego zaczęła kuleć) przeniósł się z Leszna pod opiekę szwedzką do Elbląga, gdzie osiadłszy, pracować miał nad reformą szkolnictwa szwedzkiego. Są pewne poszlaki świadczące, iż Szwecja usiłowała wykorzystać nie tylko jego wiedzę pedagogiczną, ale także jego doskonałe zorientowanie w wielu innych sprawach polskich.

Wyjeżdżając w roku 1641 z Leszna Komensky nie opuścił tego miasta ostatecznie, wracał tam bowiem jeszcze dwa razy w 1648 i 1654 roku. W rok po ostatnim powrocie witał w Lesznie panegirykiem zwycięskiego Karola Gustawa, zalewającego swymi wojskami ziemie polskie. Pamiętając o nadziejach, jakie Komensky łączył ze Szwecją, mając na uwadze fakt, iż wielu panów polskich równie entuzjastycznie witało władcę szwedzkiego dla własnego wyłącznie profitu — nie możemy sądzić czeskiego egzultanta zbyt surowo za ów panegiryk. Szczególny był to zresztą utwór pochlebczy, w którym po części pochwalnej znalazły się rady udzielane królewskiemu protektorowi, jak zjednać ma sobie Polaków. Zalecał więc Komensky by nie zmuszać nikogo siłą do posłuszeństwa, lecz przeciwnie — rozszerzyć swobody i tolerancję religijną na wszystkich. Porażka Szwecji, walki, wkroczenie do Leszna wojsk polskich zmusiły wielu uchodźców czeskich — w tym Komenskiego — do ucieczki. Leszno zostało spalone, a znaczna część prac Komenskiego uległa w pożarze zniszczeniu (np. przygotowywany przezeń słownik języka czeskiego i encyklopedia). Rozżalony tym uczony napisał gorzki, pełen wyrzutów pamflet na Leszno i Polskę „Excidium Lesnae". Jednakże na tym akcencie wyrzutów, by nie rzec niechęci i tendencyjnej przesady w charakteryzowaniu własnego stosunku do Leszna, polskiej kultury i polityki, nie kończą się stosunki Komenskiego z Polską. Do spraw Polski, w której przecież spędził najbardziej owocne lata swego życia, wracał czeski uczony i później. Świadczą o tym przez wiele lat uzupełniane jego dopiski do odezwy „Evigila, Polonia", w których dwa bratnie narody — czeski i polski — jawią się jako najbliższe sercu wielkiego pedagoga.

Z Polski udał się Komensky do Amsterdamu. Tam przygotowywał do druku swe dzieła dydaktyczne (Opera didactica omnia), tam również kontynuował, trwające aż do jego śmierci, prace nad innym dziełem, mającym służyć „naprawie rzeczy ludzkich", w którym chciał zamknąć całokształt wiedzy ludzkiej. W przeciwieństwie do panzoficznych pomysłów Komenskiego, których opracowanie, przerastające siły jednego człowieka, nigdy nie przybrało ostatecznych kształtów, jego poglądy pedagogiczne, zamknięte w dziełach zebranych, przynoszą zwarty systemat. W pracach dydaktycznych Komenskiego znalazły wyraz jego, sprawdzone w praktyce, dążenia wychowawcze, postulujące konieczność zachowania harmonii między wychowaniem a wykształceniem. Raz jeszcze powtórzył w nich żądanie, by wychowaniu nadawać charakter praktyczny, by wiodło ono człowieka ku działaniu, nie zaś ku czczemu intelektualizmowi.

System pedagogiczny Komenskiego wyrastał ze szczegółowej znajomości dotychczasowych poglądów na te zagadnienia oraz z doświadczenia pedagogicznego. Oparł go przy tym uczony o doskonałe poznanie psychicznego i fizycznego rozwoju dziecka. Komensky tak chciał wychować człowieka, by ów przez całe życie odczuwał głód wiedzy, by kształcił się. Dlatego stawiał postulaty nauczania radosnego i przyjemnego. Dlatego tyle czasu poświęcił na rozwiązanie kwestii metodycznych. Człowiek, jakiego chciał ukształtować, to człowiek umiejący obserwować, nazwać, poznać i ocenić wszystko. Kładł również nacisk na moralną stronę wychowania, mądrość bowiem według niego ma aspekt etyczny: człowieka trzeba tak uczyć, by stał się pożytecznym członkiem społeczności. W procesie nauczania — podkreślał Komensky — należy obudzić zainteresowanie tym, czego się naucza; postulował konieczność stosowania zasady systematyczności i stopniowania trudności: od znanego przechodzić ku nieznanemu, od łatwego ku kwestiom trudniejszym; kładł nacisk na stosowanie nauczania poglądowego oraz na niezbędność utrwalania zdobytych wiadomości. Jego definicja dobrego nauczania „szybko — przyjemnie — dokładnie" do dziś nie straciła nic na aktualności.

Na uwagę dzisiejszych czytelników dzieł Komenskiego zasługują i inne myśli wielkiego pedagoga, w wielu krajach dziś dopiero, i z trudem niemałym, realizowane, jak choćby dopominanie się o zapewnienie wszechstronnego wykształcenia dla wszystkich, przejście od biernego wykładania przedmiotu do lekcji, w których uczniowie biorą czynny udział, co miało wyrabiać w człowieku czynną postawę wobec życia w ogóle. Ten ostatni postulat łączył się z wyznawanym przez Komenskiego renesansowym pojęciem człowieka — istoty aktywnej. Chcąc wychować takiego człowieka musiał Komensky rozważyć również problem kary. Dziś — jak przed trzema wiekami — powitać należy z równą aprobatą jego postulaty wyszukiwania takich sposobów naginania do posłuszeństwa, które by człowieka nie pętały, lecz pomagały mu, pobudzając jego inicjatywę.

W Amsterdamie Komensky, poza wydaniem wszystkich dzieł pedagogicznych, poza uporczywą pracą nad nie ukończoną i nie wydaną nigdy za życia panzofią, opracowywał również wydanie rewelacji jasnowidzów, których proroctwami kilkakrotnie w życiu się kierował. On — pedagog, który zrewolucjonizował wychowanie, wydał jednocześnie zbiór proroctw, zaopatrzywszy je w świetny tytuł „Lux in tenebris". Starajmy się zrozumieć: ucieczka w utopię, w przepowiednie, w mesjanizm — jakże częsta to droga słabych i udręczonych, których siły materialne zawiodły, których przed rozpaczą broni wiara w jasnowidztwo, w przeczucia, w cuda. Znamy te zjawiska i z naszej historii. Na chwałę Komenskiego zapisać należy, że wśród sprzeczności i uwikłań, w jakich żyć mu przyszło, umiał stworzyć systemat racjonalny, który stał się rzeczywistą miarą jego wielkości. To właśnie jego idee pedagogiczne — nie zbiory proroctw, nie występujące w jego panzofii a wytykane mu już przez Descartes'a, dążenia do uzależniania nauki od teologii, można by nazwać zasadnie „światłem w ciemnościach".

KRYSTYNA KARDYNI -PELIKANOVA

XXVII rocznica Ludowego Wojska Polskiego

MACIEJ LACHUR: PARTYZANT SPOD KRAKOWA

JAN KOPROWSKI

Piękna sztuka przekładu

Mówi się o nich różnie: ambasadorowie kultury, pośrednicy między narodami, współtwórcy wartości duchowych. Tłumacze, bo o nich tu chodzi, wiodący wciąż jeszcze żywot anonimowy, odgrywają coraz większą rolę w świecie współczesnym. Ukryci w kabinach, niewidoczni dla publiczności tłumaczą z języka na język to, co płynie z trybun międzynarodowych kongresów i konferencji. Politycy i mężowie stanu nie mogą obejść się bez tłumaczy, których umiejętności potrafią niekiedy zaważyć na powodzeniu ważnych pertraktacji i porozumień. W dawnej polszczyźnie nazywało się ich: przekładacze, przekładcy, przełożyciele, ale także i tłomacze. Jan Alan Bardziński, najwybitniejszy chyba, obok Skargi, kaznodzieja polski i zarazem przekładacz z łaciny, napisał przed wiekami znamienne zdanie: „Prawy tłomacz nie tak się sadzi na wyborne słowa, jak raczej samę rzecz wiernie wykłada." A w sto lat później uczony biskup i poeta, Ignacy Krasicki, stwierdził z wielkim wyczuciem słuszności: „Tłomaczenie ksiąg szacowniejszym jest kunsztem, niż się wydaje..."

Cytat z Krasickiego widniał na honorowym miejscu w warszawskim Pałacu Pod Królami, gdzie w dniach od 2 do 10 października br. odbywał się drugi z kolei zjazd tłumaczy literatury polskiej. Przyjechało ich około setki z całego świata. Oto jeden z nielicznych, a może w ogóle jedyny kongres międzynarodowy, na którym język polski jest językiem obowiązującym. Słuchać tego języka, gdy mówi nim Japończyk, Francuz, Niemiec, Rosjanin, Rumun — co za radość, ile odkryć, jakie niespodzianki. Dzięki nim, znawcom polszczyzny i miłośnikom polskiej kultury, świat poznaje dzieła naszych klasyków i żyjących współcześnie pisarzy. To oni w trudnych warunkach, wynagradzani nie na miarę swoich zasług, z samozaparciem i nie zawsze dającym się wytłumaczyć entuzjazmem przyswajają innym kulturom dobra duchowe w kraju naszym powstałe, ponosząc niekiedy ryzyko zaangażowania się w pracę długą, żmudną i nie przynoszącą natychmiastowych efektów. Literatura polska nie jest jeszcze znana w świecie tak jak na to zasługuje. Ale dziś ma ona zarówno w Europie jak i za oceanem więcej znawców i prawdziwych wielbicieli niż miała ich kiedykolwiek przedtem. Świadczy o tym ilość przekładanych powieści i wierszy, granych sztuk, publikowanych w obcej prasie artykułów o Polsce.

Tłumacze z 35 krajów przebywali w Warszawie i Krakowie przez dziesięć dni. Słuchali informacji o polskiej literaturze, konferowali z wydawcami, spotykali się z autorami, których tłumaczą, bądź z tymi, których książki tłumaczyć zamierzają. Zaopatrzyli się w słowniki i encyklopedie, zbliżyli do żywej potocznej polszczyzny na ulicy, w teatrze, kawiarni i wszędzie tam, gdzie przebywali. Wśród obecnych na zjeździe byli tłumacze znani, zasłużeni i nagrodzeni (Carl Dedecius z NRF, Anna Pozner z Francji, Światosław Świacki z ZSRR, Kurt Kelm z NRD, Kazuo Yonekawa z Japonii, Elene Lintza z Rumunii), byli także tłumacze młodzi, początkujący, których dorobek przekładowy nie jest jeszcze obfity, ale którzy zdołali już dowieść, że ich znajomość języka polskiego i przywiązanie do kultury polskiej nie są koniunkturalne i krótkotrwałe.

Wielu z tych tłumaczy nie tylko przekłada dzieła literatury pięknej, ale również pisze o tym, co się w Polsce dzieje, przyczyniając się w ten sposób do szerzenia wiedzy o naszym kraju, do obalania mitów i uprzedzeń, do prostowania błędów i nieścisłości. W dzisiejszej Europie nie mogłoby się zdarzyć to, co zdarzyło się czterdzieści lat temu, kiedy to w pewnej encyklopedii wydanej na Zachodzie, znajdowało się pod literą H następujące hasło: Huberman Bronisław, wybitny skrzypek polski, urodzony w Częstochowie pod Warszawą. W dzisiejszej Europie wiedzą nie tylko, gdzie leży Warszawa i inne miasta, lecz także o tym, że Mickiewicz był wielkim poetą a nie astronomem, a w polskość Kopernika nie wątpią co mądrzejsi ludzie nawet w NRF. Świat się zmienia, w świecie zmieniają się korzystnie wyobrażenia o Polsce, w czym niemałe zasługi mają tłumacze i wielbiciele naszej kultury, których gościliśmy na zjeździe. O roli tłumacza i pięknej sztuce przekładu napisano już całe tomiska. Dobry przekład jest wtedy, jeśli jest lepszy od oryginału — powiedział dowcipniś Roda-Roda. Przekład jest jak kobieta: jeśli wierny to nie piękny, jeśli piękny to nie wierny — napisał w przedmowie do niemieckiego tłumaczenia „Boskiej Komedii" Dantego, Carl Bertrand. Tłumacze to Kolumbowie: odkrywają dla nas nieznane lądy — powiedział gdzieś kiedyś sam już nie wiem, kto. Trzeba przekładać nie słowa na słowa, lecz myśli na myśli — usłyszałem przed laty na seminarium, poświęconym sztuce tłumaczenia. Poezja jest nieprzetłumaczalna — mówią poeci. Poezja jest przetłumaczalna — odpowiadają przekładowcy. I ci ostatni mają rację, mimo istnienia nieudanych przekładów. Niedobry przekład może się zdarzyć nawet bardzo dobremu tłumaczowi. Zasłużony dla literatury polskiej Paul Cazin (Boy-Żeleński literatury francuskiej) przełożył „Pana Tadeusza" na francuski prozą. I to ma być arcydzieło literatury polskiej! — wołali francuscy intelektualiści. „Pan Tadeusz" pozbawiony wdzięku i urody rymu, rytmu, metaforyki, odarty z piękności wersyfikacyjnej staje się nudny jak flaki z olejem. A jednak Paul Cazin był wybitnym tłumaczem literatury polskiej i ten błąd (czy też po prostu niepowodzenie) musimy mu wybaczyć. Zresztą mamy już nowe przekłady „Pana Tadeusza" — lepsze i piękniejsze, które dają pojęcie o wspaniałości oryginału.

Drugi zjazd tłumaczy literatury polskiej był bardzo udany. Starzy tłumacze potwierdzili swoją wierność dla polskiej kultury, młodzi — zostali dla niej pozyskani, a myśmy się przekonali, że nawet bariera językowa może zostać przełamana, tylko trzeba się o to starać. I tu, w Polsce, i tam, poza jej granicami.

Brama do wiejskiego podwórca w regionie Maramuresz

JAN SAWICKI

Kraina ciekawych ludzi

Niespokojny duch zapędził mnie tej jesieni do północnej Rumunii — krainy o przedziwnej, barwnej jak kwiaty urodzie i pełnej niezwykle ciekawych ludzi. Jest nią, u południowego podnóża wschodnich Karpat leżąca, północna Mołdawia i na zachód od niej położona kraina Maramuresz. Mimo że graniczą ze sobą, że obie należą do najmniej uprzemysłowionych terenów Rumunii, mimo że obie znamionuje nie dający się słowami ująć urok, każda z nich jest inna.

Gdy teraz, w pewien czas po mej wędrówce staram się dociec tego skąd pochodziło to odczucie różności, przy tylu zdawałoby się wspólnych cechach, dochodzę do wniosku, iż wypływa ona z historii, z przeżyć ludu jednego i drugiego regionu. O ile bowiem w północnej Mołdawii, leżącej na drogach historycznych wydarzeń, lud od wieków brał czynny w nich udział: uczestniczył w bitwach prowadzonych na dziesiątkach frontów od zachodu i wschodu, od północy i południa, z Turkami, Tatarami, Węgrami, Kozakami, Polakami, czy w zależności od potrzeb chwili wchodził z którymś z nich w wojenne alianse, to leżący na uboczu tych wielkich wydarzeń, zamknięty w dolinach karpackich, pasterski lud Maramuresz, żył w swej większości z dala od bezpośrednich wpływów wielkiej polityki i wojennych wydarzeń.

Niewątpliwie wydarzenia historyczne wywarły także piętno na rozwoju kultury obu regionów. Kultura Mołdawii rozwijała się pod wpływem panujących tu dynastii wojewodów, hierarchii cerkiewnej, wojen, zdobyczy, zwycięstw i klęsk. Tu rosły zamczyska, dworskie pałace, bogate klasztory i fundowane przez możnowładców cerkwie. Rozwijali więc swoje umiejętności od zarania istnienia Mołdawii budowniczowie, rzeźbiarze, malarze... Rozwijało się rzemiosło i sztuka. Wojewodom Aleksandrowi Dobremu, Stefanowi Wielkiemu i ich następcom, a także wielmożom cerkiewnym, takim jak Petre Rarisz, fundatorom cerkwi i klasztorów, potrzebni byli twórcy, którzy realizowaliby ich idee, wykonywali polecenia zaspokajające ich kulturalne potrzeby. Te właśnie potrzeby rodziły twórców — ludzi niezwykle ciekawych, chociaż bezimiennych. O ich kunszcie mówią do dziś przepiękne budowle sakralne i świeckie, zdobiące je malowidła, dzieła kultury słynne na cały świat. Należą do nich m. in. mołdawskie monastyry i barwne, nie mające nigdzie odpowiednika w świecie, otoczone specjalną opieką UNESCO — słynne kolorowe cerkiewki mołdawskie, uznane za pomniki kultury światowej.

Ta sztuka dostępna dla każdego na co dzień nieomal, wywarła niewątpliwie wpływ na wykształcenie poczucia piękna w ludzie mołdawskim. Do dziś dnia, wzorując się na tych dziełach, lud mołdawski kontynuuje idee mistrzów sprzed wieków, w swych wyrobach, w budownictwie domów, w ich zdobieniu barwnym i zarazem dojrzałym, wyzbytym od dawna prymitywu — doskonałym w formie i barwie.

Te tradycje tworzą atmosferę, w której zrodzili się niezwykle ciekawi, nieprzeciętni twórcy, znani w skali światowej. Tutaj w Mołdawii, we wsi Humulesti urodził się w domu biednego rolnika jeden z największych rumuńskich pisarzy, twórca niezwykle oryginalny w formie i treści swych utworów — Ion Creanga. Dom, stanowiący dziś muzeum Creangi, opisał on w jednym z najpiękniejszych rumuńskich dzieł literackich — w powieści „Wspomnienia dzieciństwa". Przekazał w niej piękno ziemi, która go wydała, domu w którym ukochał każdy kamień, każdy przedmiot, każde wspomnienie o swoich najbliższych, każdą rzecz wytworzoną ich rękami...

W leżącym nie opodal Neamt tworzył inny wielki rumunski twórca Mihail Sadoveanu, a w klasztorach w Varatec. Neamt i Agapia przemawiają ze ścian — obok dzieł starych bezimiennych twórców, którzy Matkę Boską i malowanych przed wiekami przez siebie świątków stroili w przepiękne mołdawskie stroje ludowe — obrazy malowane ręką największego rumuńskiego malarza, syna tej ziemi Nicolae Grigorescu. Potomkowie bezimiennych, niezwykle ciekawych w wyrazie swych dzieł budowniczych zamczysk, pańskich siedzib, klasztorów i mołdawskich cerkwi — inżynierowie, mistrzowie i robotnicy Suczawy w niespełna dwa lata wznieśli wspaniały, dziewięciopiętrowy gmach z betonu, stali i szkła. Jest nim szpital na 760 łóżek z wszystkimi nowoczesnymi urządzeniami i cudeńkami, niezbędnymi do ratowania ludzkiego życia. Tylko jakiś wewnętrzny, nie uzasadniony chyba niczym hamulec powstrzymał mnie od pytania jak oni zrobili to, że zbudowali ten pałac zdrowia tak doskonale, a zarazem tak szybko? A może powstrzymał mnie wstyd, za to, że u nas o połowę mniejszy szpital wg harmonogramu ma się budować przeszło 50 miesięcy, a w praktyce przeważnie jeszcze dłużej.

*

O ile sztuka i architektura mołdawskiej Suczawy mimo, że w pełni ludowa, zrodzona została w wyniku zaspokajania potrzeb możnych tego świata, o tyle sztuka Maramuresz od zarania swego była i jest do dzisiaj ludową tak od strony jej twórców, jak i od strony tych, których potrzeby artystyczne zaspokaja. To tutaj zrodzili się niezwykle ciekawi w wyrazie swych artystycznych idei ludowi, bezimienni rzeźbiarze figurek sakralnych i ozdób domowych, a także zdobionych prześlicznie sprzętów i przyborów, jak: kołyski, stoły, stołki, łyżki, przęślice, kołowrotki, warsztaty tkackie, wozy i dziesiątki innych, pięknie snycerską sztuką zdobionych przedmiotów. To głęboka ludowa tradycja sztuki zrodziła niewątpliwie rzeźbiarza, jedynych w swoim rodzaju, zamawianych u mistrza często jeszcze za życia mieszkańców wsi Sabinta, nagrobków z drewna. Przedstawiają one w dowcipny, a często nawet w satyryczny sposób podkreślone umieszczanym na nagrobkach wierszem, tworzonym przez tego samego artystę — zalety, a także i przywary zleceniodawców. STAN ION PATRAS — twórca tych cudeńków — to niewątpliwie jeden z najciekawszych przedstawicieli tej najbardziej ludowej sztuki Rumunii. Wesoły cmentarz — jak nazywa się cmentarz w Sabinta — jest największą, licznie odwiedzaną osobliwością tego kraju.

Głęboko korzeniami w tej właśnie sztuce ludowej Maramuresz tkwi twórczość zasłużonego artysty — GEZY VIDA, rzeźbiarza w drzewie, twórcy pełnych wyrazu 12 postaci wyciosanych z potężnych pni dębowych, ustawionych na zboczu wzgórza, nie opodal drogi we wsi Moisiei. 12 postaci, mających w sobie coś z niezwykłych, kamiennych głów z Wysp Wielkanocnych, symbolizuje walkę ludu Maramuresz z faszyzmem w okresie II wojny światowej. W walce tu prowadzonej zamordowanych zostało 29 mieszkańców Moisiei: Rumunów, Węgrów, Ukraińców...

Pamięci tych ofiar faszystowskiego barbarzyństwa poświęcił swe dzieło Geza Vida.

Ludowej sztuce Maramuresz służy Muzeum Etnograficzne w Sziget. Muzeum to jest dziełem Francisa NESTORA — zapaleńca, człowieka bez reszty oddanego swej idei, na własnych plecach znoszącego eksponaty z odległości dziesiątków nawet kilometrów.

Ludowej sztuki Maramuresz wyrazem najczystszym są stroje, zwyczaje i obrzędy Kraju AOSZÓW, zachowane w nie skażonej od setek lat formie i wyrazie, bronione gorąco przed wpływami współczesnej cywilizacji przez zakochanych w niej aż do granic zacofania, niezwykle ciekawych ludzi, zrośniętych z nią na śmierć i życie.

GUSTAW ROMANOWSKI

Grafika radzieckiej Estonii

WEWNĘTRZNIE różnicującej się dziś coraz bardziej sztuce radzieckiej, plastyka Estońskiej SRR odnajduje swoje specjalne miejsce. Sztuka estońska nie ma długich i bogatych tradycji rozwojowych. Sztuka ta — oczywiście, profesjonalna, wykształcona a nie ludowa — jest zjawiskiem nowym; zaczęła się kształtować dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Rzecz jasna, sztuka ludowa była i w Estonii bogata, własna i oryginalna, kultywowana od stuleci, ale jej wymiar zamykał się w granicach folkloru wiejskiego.

Natomiast architektura i sztuka miast tej ziemi, kształtowane były od średniowiecza przez żywioł tkwiący w zupełnie innej, obcej tradycji. Bo obcy władcy Estonii — Kawalerowie Mieczowi, książęta inflanccy czy Szwedzi, nadali grodom i zamkom tego kraju kształt tak bardzo różniący się od wschodnioeuropejskiej architektury.

Dziś czynniki te stanowią — bardziej historycznie niż estetycznie — kulturowy podkład, na którym formuje się nowe oblicze estońskiej plastyki. I może dzięki temu ta niewielka nadbałtycka republika radziecka, może się obecnie pochwalić prężnym i stosunkowo dużym środowiskiem artystycznym, poszukującym z powodzeniem własnego miejsca na mapie kulturalnej Związku Radzieckiego.

Niewielka wystawa estońskich grafików w salach Muzeum Sztuki w Łodzi daje, wprawdzie pobieżny, ale interesujący przegląd zainteresowań i możliwości twórczych Radzieckiej Estonii *). Zestaw wystawowy skompletowany z 79 prac 14 autorów, nie może, oczywiście, stanowić ostatecznej miary tego, co dzieje się w plastyce estońskiej. Wiemy, że zachodzi tam znacznie więcej ciekawych przemian.

Dzisiejsza grafika estońska znajduje się na przecięciu tradycji własnej sztuki ludowej, własnej historii, ogólnej tendencji artystyczno-estetycznej istniejącej w sztuce Związku Radzieckiego oraz sztuki nowoczesnej.

Wzorce ludowe są tu obecne w większości prezentowanych grafik. Wzorce te składają się na pewien estetyzm, jakby kanon sztuki estońskiej, przejawiający się w położeniu większej wagi na stronę ornamentacyjną plansz, mniejszej zaś na jej stronę wyrazową. Daje się to szczególnie zauważyć w pracach Heralda Eelma, Avo Keerenda, Aleksa Kütta czy Vive Tolli. Będzie to więc ludowe, empiryczne urzeczenie przedmiotem-symbolem („Samowar" Kütta), jak i ludowo baśniowa metafora („Jezioro — mogiła" Tolli) będzie to również sama „uprzedmiotowiona" ornamentacja („Zeszłoroczny bukiet" — Eelma). Zresztą, ten estetyzm jest obecny w grafice estońskiej znacznie szerzej, dla podkreślenia własnych narodowych tradycji tkwiących od wieków w sztuce ludowej.

Inna tradycja przebija się z prac Oleva Soansa, świadomie nawiązującego do ryciny Odrodzenia i jakby nawet za bardzo powierzającego się w stylistyce, przypominającej sztychy starych ksiąg żeglarskich. Soans robi to jednak w sposób nieco przewrotny, dowcipnie — a przy tym ze świadomością podobnych tendencji stylistycznych znanych we współczesnej grafice na innym również terenie. Są to propozycje interesujące na dziś i łatwo przyjmujące się w szerokim społecznym odbiorze. Poza techniką metalową, Soans stosuje nie spotykaną raczej rytowniczą technikę w miękkiej lace, technikę dającą ciekawe efekty formalne („Tallin, Julemiste, Najsaare").

Bardzo ciekawą grafikę pokazał Peeter Ulas — grafik poszukujący własnego wyrazu artystycznego w sposób odmienny od ogólnej tendencji występującej w sztuce estońskiej. Jego „Restauracja" czy świetne „Komary" są niewątpliwie ważnymi propozycjami artystycznymi tego autora. Nurt nadrealistyczny, jaki reprezentuje Ulas, jest rodem z delikatnej groteski, z żartu. Nadając swoim pracom precyzyjną formę graficzną, wzbudza Ulas u widza owo lekkie podniecenie, jakie towarzyszy zawsze sztuce efektownej, przemyślanej.

Oczywiście, nie sposób pominąć wiodącego nurtu artystycznego, jaki reprezentuje spora ilość prac; myślę tu o realizmie — który jest wciąż decydujący dla oblicza całej plastyki radzieckiej. Większość autorów na wystawie prezentuje swoją podwójną drogę artystyczną: prace realistyczne (o różnym, rzecz jasna, pojmowaniu idei realizmu); i prace poszukujące formalnie nowego języka dla wypowiedzi twórczych. Ten dualizm, mylący nieco na pierwszy rzut oka, najpełniej charakteryzuje obecny etap rozwojowy w sztuce radzieckiej. Na skrzyżowaniu tych tendencji buduje się nowe oblicze plastyki estońskiej.

*) Muzeum Sztuki w Łodzi — Współczesna grafika Estońskiej SRR — wrzesień — październik 1970

POLONICA

O GROTOWSKIM W NRF

W hamburskim tygodniku „Der Spiegel" (z 14 września br.) ukazał się artykuł o Jerzym Grotowskim z okazji wydania w NRF książki o nim pt. „Das arme Theater des Jerzy Grotowski". Kierownik wrocławskiego „Teatru Laboratorium", Jerzy Grotowski, zażywa od lat sławy światowej, a występy jego zespołu za granicą cieszą się wyjątkowym powodzeniem wśród znawców i koneserów sztuki. Recenzent pisze, że teatr Grotowskiego jest teatrem dla uprzywilejowanych: krytyków i ludzi bogatych, którzy w Nowym Jorku, na przykład, płacili za wstęp na przedstawienie Teatru Laboratorium po 100 dolarów. Grotowski, jak pisze krytyk w „Spieglu", nakazuje, aby przychodzący do jego teatru zostawiali w garderobie nie tylko swoje płaszcze i teczki, lecz także programy teatralne. Pewien Amerykanin, obecny na przedstawieniu teatru Grotowskiego, powiedział, iż czuje się uszczęśliwiony, że może przynajmniej zatrzymać własne buty. W końcu artykułu recenzent zauważa, nie bez żalu, że Grotowski był już w USA, Francji, Italii, Anglii, w krajach skandynawskich, Meksyku, ba! — nawet w Persji, natomiast na zaproszenie z NRF odpowiadał odmownie ze względu „na trudności terminowe". jk

APOLLINAIRE

Ósmy tegoroczny numer francuskiego czasopisma „Cahiers Guillaume Apollinaire" został w całości poświęcony „table ronde", urządzonej niedawno w Warszawie na temat Guillaume Apollinaire'a. W spotkaniu tym wzięli udział liczni polscy oraz francuscy krytycy i badacze, pasjonujący się wielkim poetą. W ósmym numerze „Cahiers Guillaume Apollinaire" opublikowano referaty wygłoszone podczas warszawskiej sesji przez Jean Levaillanta, Zdzisława Rylkę, Jacqueline Bellas i Elżbietę Grabską. Z drugiej strony sprawozdanie z tej sesji opublikował też miesięcznik „Temps Modernes", a prof. Decaudin, przewodniczący „table ronde" i wybitny badacz francuski zamieścił w miesięczniku „Europe" artykuł o biograficznych badaniach zmarłego niedawno polskiego poety, Anatola Sterna, dotyczących pochodzenia Apollinaire'a. Równocześnie ogłoszono tam przekład wiersza Sterna pt. „Apollinaire".

Warto dodać, że „Journal de Geneve" opublikował odnaleziony wiersz Apollinaire'a, poświęcony marionetkom i frontowemu teatrowi lalek, który grał dla francuskich żołnierzy podczas pierwszej wojny światowej. Apollinaire to drugi ciekawy przykład miłości poety do teatru lalek; u nas miłość tę reprezentuje autor świetnej, pionierskiej książki, wydanej na ten temat w 1938 roku, Jan Sztaudynger. Apollinaire wyznaje w swym wierszu, że całe życie kochał „Guignola", czyli teatr laleczek — od pierwszych lat dzieciństwa. W. N.

POLONICA

KAROL BADZIAK

Gracze

Materiały do tego reportażu zbierałem tam, gdzie zbiera się śmieci: w ciemnych bramach, ponurych podwórkach, we wnękach schodów, pod płotem. No i oczywiście przede wszystkim na dziedzińcu Ekspozytury Totalizatora Wyścigów Konnych przy ulicy Piotrkowskiej 84. To wszystko są miejsca, gdzie gra się w Łodzi we wszystko. W „oczko", pokera, derdę, kariokę, „numerki" i „dziewiątego wała". Kto gra? Ludzie prawie wszystkich zawodów łącznie z emerytami i rencistami. Hazard jest jak opium, alkoholizm i inne plagi społeczne. Jest nawet groźniejszy, gdyż pozostaje poza zasięgiem wszelkiego przeciwdziałania. Prawo wobec graczy jest łagodne, nie karze uczestników, tylko organizatorów i tych, co czerpią zyski z gry. Jakże trudno odróżnić, kiedy w ciemnym zaułku gra pięć osób w derdę, kto jest organizatorem, a kto uczestnikiem. Najprawdopodobniej wszyscy są współorganizatorami.

Wejdźmy na ciemne podwórko przy Piotrkowskiej 84 w dniu, gdy w Warszawie na Służewcu odbywają się wyścigi konne. Tam na miejscu uczestnicy przeżywają coś, co jest zbliżone do emocji sportowych, obserwują konie na maneżu i na padoku, oglądają galopy, widzą zmagania dżokejów. Łódzcy gracze pozbawieni są tego widowiska, typują w ciemno gonitwy, kierując się programem i sobie tylko znanymi motywami. Uprawiają hazard w stanie chemicznie czystym. Dwie stare dozorczynie od lat polują na fuksy, stawiają wyłącznie na te konie, na które nie stawia nikt. I jest w tym jakaś logika. W razie wygranej stawka jest wysoka. Kobiet spotyka się tu jednak mało, choć te, które przychodzą, są koniom wierne, przeważnie rencistki, grają najczęściej wspólnie, zbierając po pięć złotych, ażeby wykupić jeden zakład za złotych dwadzieścia. Powiada się o nich, że grają po dziadowsku. One się jednak tym nie przejmują, swoje wiedzą i kilka razy w tygodniu ów wdowi grosz na garść owsa dla koni przynoszą. Jest to ich podatek od złudzeń. Owies spełnia dla graczy rolę alibi. Przegrani, wracając późnym wieczorem w niewesołym nastroju do domu, pocieszają się wszakże tym, że ich pieniądze pójdą na owies, na hodowlę koni. Faktycznie — dwadzieścia procent gotówki wpływającej do kas Totalizatora przeznaczone jest na hodowlę.

Klientami Totalizatora Wyścigów Konnych są z reguły ludzie starsi, młodzieży przychodzi tu na szczęście mało. Gra ta wymaga pewnej znajomości rzeczy, koni i dżokejów. Trzeba wielu lat i sporo pieniędzy, ażeby się w miarę pewnie po tym terenie poruszać. Sztukę tę, tak naprawdę opanowali w Łodzi tylko dwaj starsi panowie. Oni rzeczywiście są miłośnikami koni, znają dokładnie ich rodowody, wiedzą na przykład, że Idrys to ogier doskonale rozwinięty, mocny, wcześnie urodzony, kościsty, o rzucającej się w oczy potędze dźwigni (szczególnie łopatki) i wygląda bardziej na trzylatka, niż na dwulatka. Jego dziadkiem był Skarb, ojcem Solali, który wygrał w 1961 roku wszystkie cztery gonitwy klasyczne, dał dobre konie jak Drachma, Nostalgia, Dermot i Mirsk. Wiedzą, że matką Idrysa była Ikra, a jej ojcem z kolei Hirohito, który dał Dracenę, matkę Dorynta i Daglezji.

Oczywiście, ażeby tę dość zawiłą i zabawną wiedzę posiąść, wystarczy skrupulatnie studiować program wyścigów konnych. Coraz przedziwniejsze są nazwy koni: Epigram, Dykcja, Cytata, Drama, Elektra, Slogan, Agitator, Skuter i Celofan.

Panowie R. i T. reprezentują zanikającą już klasę graczy eleganckich, rutynowanych i przytomnych. W dół od nich jest coraz gorzej. Rzecz jasna spotkać jeszcze można tu i ówdzie jakiegoś przedwojennego kawalerzystę-dziwaka, który stawia wyłącznie na maść konia, na przykład na gniade. Reszta to hazardziści zawodowi, dla których Totalizator jest tylko jedną z licznych gier, jaką uprawiają. Ci nie gardzą „dziewiątym wałem", „numerkami", ba, nawet ostatnio, grają w kosz od śmieci. Reguły tej gry polegają na tym, że z odległości kilkunastu kroków rzuca się dziesięciozłotówką do kosza. Każdy trafny płatny jest sto złotych.

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni spotykają się wszyscy na „wyścigach konnych", powiedzmy dokładniej — przy kasie tychże wyścigów, gdzie inżynier z zakładów włókienniczych potrafi grać do spółki ze zwykłym złodziejem kieszonkowym, a tancerz z baletu Opery brata się z konikiem sprzed kina „Bałtyk". Tłumek tego podwórka jest tak barwny i charakterystyczny, że tylko oko kamery zdolne byłoby przekazać swoistą aurę, jaka tu panuje. Kasy mieszczą się w baraku, który mógłby grać rolę saloonu w westernie z najbardziej Dzikiego Zachodu. Statyści też. Co najciekawsze, choć mrowi się tu od złodziei, kradzieże zdarzają się na ogół rzadko. Najbardziej złą sławą cieszą się na tym terenie bracia — bookmacherzy. Szczwani, bezwzględni, leworęczni, z wrodzonym wstrętem do uczciwej pracy, w lokalnej gwarze zwani grajcarkami. Ich gwardia przyboczna tak zwani naganiacze noszą miano zagryziaków. Zagryziakowie w wolnych chwilach, kiedy nie pełnią służby u boku grajcarków, ponieważ ci znajdują się na przykład aktualnie w więzieniu, polują na pijaków, których ogrywają bez żadnej litości do suchej nitki.

Swego czasu, kiedy braci M. schwytano na gorącym uczynku konkurowania z Totalizatorem państwowym, przyjechał do Łodzi ze Służewca sam król krajowych bookmacherów, niejaki W., ażeby ich odbić z aresztu. Stawiał wódkę wszystkim graczom znajdującym się w zasięgu jego portfela. Niewiele wskórał i szybko wyjechał. Okazuje się, że trudno dziś o fałszywych świadków. Zresztą o prawdziwych też niełatwo. Wie coś na ten temat milicja powołana do zwalczania tego typu przestępstw. Walczy z mętami społecznymi nasza milicja podobnie jak policja amerykańska z gangsterami — metodą nękania.

* ✻ *

Ostro zabrała się milicja do tępienia melin pijackich. Pojawiły się więc ruchome bufety. Nocą wychodzi na miasto taka Lodzia-bufet, czy Dzidzia-bufet i trzyma w torbie dziesięć półlitrówek plus zakąska.

Obowiązuje w naszym mieście w miesiącach letnich tryb przyśpieszony, który praktycznie wymierzony jest w nierobów. Cóż robią nieroby? Zatrudniają się u chłopów w podmiejskich wioskach. Ale w milicji też pracują ludzie z głową. I na to znaleźli ostatnio radę.

Przez wiele lat nie udało się milicji wytrzebić waluciarzy spod PKO. W tym roku znaleziono sposób i waluciarze omijają tę placówkę z daleka. Na przestrzeni ostatnich paru miesięcy zatrzymano pod tym sklepem 127 osób; 34 skierowano do kolegium, 52 do IKR, 2 do sądu za zniewagę funkcjonariusza w czasie służby. Reszta poszła potulnie do pracy. Oczywiście nie wiadomo na jak długo. W sumie wszystkim waluciarzom odebrano w ostatnim czasie 2870 dolarów, 100 rubli, 700 franków, 100 franków szwajcarskich, 10 koron duńskich, 12 funtów angielskich, 20 marek NRF, 200 marek NRD, 800 koron czeskich i 500 forintów węgierskich.

Waluciarza trudniej jest złapać na handlu niż „konika" przed kinem, gdyż przedziwne nasze przepisy mówią, że wolno u nas obcą walutę posiadać, tylko handlować nią nie można. Jeśli milicja poradziła waluciarzom, miejmy nadzieję, że również plagę „koników" zlikwiduje.

* ✻ *

Smutną prawdą jest, że właśnie niebieskie ptaki całej Łodzi zlatują na „wyścigi konne", stanowiąc zaplecze społeczne tej zabawy. Jacyś pomięci, brudni, niechlujni biegają gorączkowo po zamkniętym kwadracie podwórka. Zniszczone twarze, zżerane przez namiętność do posiadania dużych pieniędzy. Pokazują mi człowieka, który rok temu wygrał milion w Toto-lotka i przepuścił go na wyścigach. A więc gra nie jest środkiem do wygrania, a wygrana środkiem do polepszenia sobie bytu, idzie o to, żeby wygrać tylko w tym celu, żeby móc grać dalej, wyżej, więcej, dłużej. Pokazują mi lekarza, który gra w każdą grę i z każdym, dotąd, dopóki nie przegra całej posiadanej gotówki. Ten podstępny nałóg jest szczególnie niebezpieczny dla ludzi, mających w pracy do czynienia bezpośrednio z pieniędzmi. Przed wojną wielu buchalterów strzeliło sobie na wyścigach w łeb. Dziś wstyd zmalał, honor staniał, aferzyści nie popełniają samobójstw, wolą siedzieć.

— Co by pan zrobił ze szczęśliwie wygranym milionem? — pytam 76-letniego starca zwanego tutaj Degolem, z tego powodu, że po wielu latach wrócił z Francji.

— Oddałbym do banku i z procencików by się żyło — odpowiada bez wahania Degol.

Był późny wieczór, gra skończona, kasy zamknięte, nocny stróż gasił światła, lecz po ciemnych kątach rżnięto jeszcze w karty, w osławionego dziewiątego wała, bardziej chyba regionalną grę łódzką niż Kukułeczka.

— Ja bym tam całego miliona do banku nie oddał — odezwał się drugi staruszek. Osiemset tysięcy bym oddał, a resztę sobie zostawił — dodał z dumą rozrzutnego skąpca.

Niech i ja coś do tego dodam. Otóż u tego staruszka jest to rodzinne, jego matka grała tutaj do samej śmierci, a żyła niemało, bo aż 89 lat. Syn pielęgnuje rodzinną tradycję, gra zawsze. Chyba, że akurat jest chory, ciężko chory.

Trzeci z kompanii mały, skurczony emerytowany dżokej. Dokuczają mu tu wszyscy, posądzając, że jeździł na ośle.

— Chyba, że na takich jak wy — odgryza się.

— Królem przecież nie byłeś — odpowiadają mu zgodnym chórem. Znamy historię Polski, a tam nie ma o tobie ani słowa.

Półka z książkami

MECENAS I LALA

Pani de Cespedes (znana w Polsce jako autorka wydanej przed dziesięciu laty powieści obyczajowej „Brulion Walerii Cosati") opowiada nam historię rzymskiego adwokata, który ogarnięty nagłą a przemożną namiętnością do młodej dziewczyny — dąży do zaspokojenia swych pragnień nawet za cenę obietnicy małżeństwa. Jego zabiegi, po skomplikowanej i niemal sensacyjnej akcji, prowadzą do zaskakującego rozwiązania. Rzecz jednak nie kończy się tragicznie. Adwokat traci tylko sporo pieniędzy, dwoje młodych łączy się razem, nikt do nikogo nie ma właściwie większych pretensji.

Powieść „Lala" ma wiele rozmaitych walorów treściowych i poznawczych, ujawniających się przy różnych punktach widzenia. Można więc odkryć w niej ostrą krytykę włoskiej palestry, której przedstawiciel daje się nabierać na najbardziej nieskomplikowane naciąganie (co obala powszechnie zakorzenione dotąd przekonanie o lisiej przebiegłości adwokatów). Można powieść potraktować jako głęboką i trafną analizę psychologicznych i socjologicznych czynników stwarzających ogromną i nieprzebytą przepaść między mentalnością dorosłych i młodzieży. Można książkę odebrać jako wnikliwe studium psychologiczne człowieka ogarniętego wielką i silną pasją, który „dostał takiej manii, że chciał tylko od Stefanii". Przy okazji można trud pisarki uznać za rozświetlenie — choć w części — mroków spowijających sprawy erotyzmu. Można wreszcie widzieć w książce obraz współczesnej młodzieży, bezwzględnej i dążącej jedynie — wszelkimi drogami — do celu jakim jest wyłącznie własny interes.

Jeśli jednak wszystko to jest prawdą — można zadać tylko jedno pytanie: czemu jest to napisane tak śmiertelnie serio?

NFP

Alba de Cespedes „Lala", Państwowy Instytut Wydawniczy 1970. Przełożyła Halina Kralowa. Str. 285. Cena zł 25.—

DRUGI KORPUS

W ostatnich tygodniach nakładem „Książki i Wiedzy" ukazały się dwie interesujące książki wspomnieniowe poświęcone żołnierzom 2 Korpusu walczącego w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Aleksander Olszewski — autor książki „Tropikalnym szlakiem 2 Korpusu" pisze na wstępie swojego pamiętnika: „W hołdzie nieznanym matkom i dla uczczenia pamięci poległych i zmarłych żołnierzy pochowanych na 28 cmentarzach pięciu krajów Środkowego Wschodu — których mogiły zawiały wiatry pustyni a zbielałe kości rozniosły szakale — książkę tę poświęcam".

Gorzka i tragiczna to książka. Opowiada historię formowania polskiej armii w ZSRR a potem wyjście do Persji. Na tej trasie od przedpola Taszkientu do granic Egiptu 8 tys. żołnierzy zmarło z wycieńczenia i chorób zakaźnych. Osiem tysięcy — jedna piąta całej armii — poniosła śmierć przed wejściem do działań wojennych. O losach tych żołnierzy opowiada w przejmujący sposób książka Olszewskiego. Walory poznawcze, dokumentacyjne są w tej publikacji niezaprzeczalne zwłaszcza, że autor pisze o szeregu zadań specjalnych — nie bojowych — o których mało kto wie — a które przecież także charakteryzują tragizm polskiego losu w latach drugiej wojny. Przejmująca jest choćby historia transportu 100 polskich sierot przez pustynię do Indii gdzie znalazły azyl i opiekę.

Drugą książkę napisał Piotr Medyna i nosi ona tytuł „Do Polski przez cały świat". Droga autora do 2 Korpusu była inna niż Olszewskiego. Prowadziła przez Słowację na Węgry już po klęsce wrześniowej — potem do Hajfy, Egiptu i Iraku. „Do Polski przez cały świat" — to łsowa piosenki, którą śpiewali żołnierze-tułacze przemierzający w szeregach 2 Korpusu pustynie Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, ziemię włoską — okrężnymi drogami idący przez Tobruk, Monte Casino, Anconę — do ojczyzny.

Autor książki przebył z Korpusem daleką drogę dosłownie i w przenośni — drogą wewnętrznej przemiany, której wynikiem stał się jego powrót do kraju i włączenie się w nurt życia Polski Ludowej. Podobnie jak Aleksander Olszewski widzi Medyna i notuje gorący patriotyzm i bohaterstwo żołnierza — obaj autorzy widzą też i dają temu wyraz, że żołnierskie ofiary wykorzystywane były przez dowództwo i emigracyjne koła polityczne w interesach niewiele mających wspólnego z interesami Polski. Ich wysiłkowi zbrojnemu nie towarzyszyła właściwa koncepcja polityczna. Ale o wysiłku tym i o tych ofiarach zapomnieć nie wolno i dobrze się stało, że „KiW" wydała te interesujące i wstrząsające pamiętniki.

J. W.

Aleksander Olszewski „Tropikalnym szlakiem 2 Korpusu" KiW — 1970.

Piotr Medyna — „Do Polski przez cały świat" KiW — 1970

ŚWIĘTY KRZYŻ

Dwie mam pretensje do tej ciekawej książki. Po pierwsze tytuł nie zapowiada właściwie zawartości — bo któż dziś pamięta, że hasło „Święty Krzyż" dotyczyło w okresie międzywojennym ciężkiego więzienia. Po drugie książkę Nosala kończymy z uczuciem niedosytu. Sto stroniczek — to za mało, aby zmieścić pasjonujące i tragiczne dzieje świętokrzyskiego więzienia.

Ale pomysł i realizacja — książka o legendarnym więzieniu — są naprawdę przednie. Nosal wykorzystał w niej wstrząsające listy więźniów i ich bliskich, przytacza więzienne dokumenty, przypomina co większe bunty i ucieczki, nawet zwykłe rozkazy dzienne „Pana Naczelnika"... Z tych skrawków minionej rzeczywistości, ze strzępów dokumentów ułożył Zbigniew Nosal mozaikę reporterską, a właściwie zrobił z tych składników kawałek literatury.

Święty Krzyż. Dawny benedyktyński klasztor na Łysej Górze, w środku Puszczy Jodłowej. Więzienie „wymyślił" tu gubernator radomski, książę Dołgorukow jeszcze w roku 1884. A i przedtem klasztor był miejscem zsyłki dla niesfornych duchownych. Siedzieli tu w przerażających, nieludzkich warunkach — komuniści i pospolici kryminaliści, siedział tu przemytnik, dywersant, szpieg i pisarz Sergiusz Piasecki... Poświęcił mu Nosal tylko mały rozdziałik w swej książce, a szkoda, bo postać to do dziś intrygująca. Siedział tu słynny Stefan Bandera — planowano nawet jego odbicie ze Świętego Krzyża, ale plan się nie powiódł.

Wreszcie ostatnia wojna — setki grobów na polskim cmentarzu, masakra więźniów we Wrześniu. Ponura historia ponurego więzienia na Łysej Górze. Bardzo dobry pomysł — bardzo intrygująca książka. Szkoda tylko, że taka krótka.

J. W.

Zbigniew Nosal: „Święty Krzyż", Wyd. Łódzkie 1970, cena 10 zł.

ZYGMUNT FIJAS

Moments musicaux et decybeliques

Suita na hydrofor, trąbkę, podkowę i zapachy

Z trzeciego piętra tej wielooficynowej czynszówki łódzkiej często dobiega do twych uszu głos skrzypiec. Na nich młody skrzypek, uczeń wyższej szkoły muzycznej, ćwiczy wciąż tę samą partię z kwartetu „Pstrąg" Schuberta.

Ta wielokadłubowa kamienica jest oprawiona w pretensjonalne, secesyjne okładziny; ich fragmenty wciąż odpadają po deszczu. Ona przypomina dawne kamienice petersburskie, tak dobrze ci znane z rojeń sennych. Słońce dociera tylko do górnych pięter tej budowli. Na parterze posesji, nawet w jasne dni, panuje zmierzch. Gdy zapada listopadowa szaruga, w dole rozpościera się ciemność, nieraz ciężka i gruba jak zad karego wołu.

Mnóstwo tu przybudówek z przylegającymi do nich komórkami na kłódki kowalskie albo rygle i przytwierdzonymi do ścian rzędami gołębników.

Budynek jest pakowny jak korab. Jazgocze on, dudni „maglą elektryczną" i czymś jeszcze, czego nie widać, a jest motorowym odgłosem maszyn tkackich, skazanych na śmierć. Ten odgłos jest łudząco podobny do szuszczenia miotełki perkusyjnej po bębnie lub kotle. Szuści rytmicznie, podczas gdy psy kamieniczne szczekają, koty miauczą, indyki gulgocą, rozlega się pianie kogutów, kwakanie kaczek — jak na wsi. Niekiedy przecina te głosy ostry krzyk gęsi — tuczonych na rzeź.

To znowu rozlega się stękanie hydroforu.

Albowiem z niewiadomych przyczyn, woda z sieci miejskiej nie została doprowadzona do tej stojącej ruiny. Zapewne budynek ulegnie rozbiórce.

Codziennie wjeżdża na podwórko cysterna, napełniona cieczą do mycia głowy i przyrządzania herbaty, gdyż woda głębinowa, wysysana przez hydrofor do zbiorników, jest bura i twarda. Słychać wówczas, jak dawniej, dźwięki szkolnego dzwonka, potrząsanego przez komunalnego dostawcę, zawiadamiającego lokatorów o sprzedaży tej cieczy na wiadra.

Budzą się wówczas radioodbiorniki.

Powtarzają one na „dzień dobry" jazzowe zawodzenia robotników na amerykańskich plantacjach: Indian, mulatów, Kreoli, Murzynów; bębnienie hiszpańskich gitar i terkotanie ksylofonów, jak płotów, po których biegnący berbeć pociąga patykiem, ale co pięć, osiem dranek jest dziura albo dwie: pauza.

Ona sprawia, iż rytm utworu jakby kulał. Jakby rytmika tego utworu jazzowego, urozmaicana szuszczeniem maszyn tkackich tam, za murem, nie miała ani ładu, ani składu. Jednak w tym wrzaskliwym, chwilami chrapliwym utworze, reprodukowanym przez głośniki, jest motoryczny rytm naszych maszynowych czasów — i wyrafinowany: afrykański, to indiański, prekolumbijski.

Jeśli dodamy do tej muzyki stuk kowalskiego młota, obrównywującego podkowę dla konia (wciąż jeszcze nie kasują tej kuźni w pierwszej oficynie — z podjazdem od strony przecznicy: tej pracowni kowalskiej w śródmieściu dla badylarskich wałachów i fabrycznych perszeronów), a także dodamy chrapanie trąby suzafonu, akompaniującej gwizdowi amerykańskiego przeboju „Most na rzece Kwai" oraz dźwięki solo na trąbce z „Tristana i Izoldy" wydmuchiwane przez siwiuteńkiego trębacza dawnej orkiestry pułkowej, obecnie strażnika przemysłu, to ta ilość jednostek decybeliczno-muzycznych upoważnia nas do nazwania kakofonii kamienicznej „Moments musicaux et decybeliques" — i poniechania utworu zaczętego przez nas słowami:

Koń bułany, droga kopna,
jesioklonów lament,
panno, spełzłaś na przedmieściu jak dawny atrament.

A nie wolno zapominać o zapachach starego, szaletowego szamba porosyjskiego, jeszcze z czasów cara Pałkina; chemicznych aromatach Widzewa; hamburskich kotletach smażonych na oleju; wyziewach chlorowanych zlewów, na których to odtrutkę wywołujesz w marzeniach wonne wybrzeża Dalmacji i sady kaukaskich kwitnących moreli.

Wiosna gdzieś tam w miejskich ogrodach już dojrzewa. Pąki drzew i okwiecone ozdobne krzewy aż tu, do tych oficyn, przesyłają swe dyfuzje. Nosy galerników tej skazanej na zagładę pofabrykanckiej czynszówki, jak elektrostatyczne odczyszczalniki, wyławiają spośród smrodu, tylko wiosenne, odżywcze wonie. Męczennicy tego pofabrykanckiego budynku, stojąc w oknach, wchłaniają w siebie tylko to, co ludziom miłe. Podobnie młynarz wyławia uchem spośród jazgotu maszyn tylko śpiew ulubionego kanarka, trylującego w klatce ponad żubrownią.

W tę wielość zdań wwodzi cię wciąż decybelowo-smrodowa rzeczywistość, której przewodzi jakiś drobnomieszczanin. Jemu, tającemu się, dobrze w tym, co skisłe.

Zamiast skomponować delikatną japońską nutę na wzór Fudziwary Okikadze

Śpiewu nie żałuj,
I kuwikaj, słowiku!
Bo czyż rok jeden
Może to kazać wiośnie
Kwitnąć na nowo tobie?

albo dla starzejących się panien — imitację japońskiej tanki, napisanej przez poetkę Nipponu, Ono-no-Komaci

Te barwne kwiaty
Chłostane strugami dżdżu,
Kwitły na próżno
Jak i moje powaby,
Co więdną w ucieczce lat,

zabierasz się do pisania niby brechtowskiego songu, zaczynającego się tak:

Na plażowych parkietach
farbowane damy
tańczą, a klezmer bębni
czerwone fandango.
Jutro klezmerom
szpadryny podamy,
gdy runiemy w riwiery
braterską falangą.

Ale oto z kowalskiej poczekalni wychodzi bułany koń (były dorożkarz, obecnie właściciel taksówki, nie mówi nigdy „bułany", lecz po staroświecku: izabelowy); zwierzę trzaska nowymi, czarnymi podkowami. I znowu słyszysz: stękanie hydroforu, radioodbiorniki, magnetofonowe dźwięki suzafonu, akompaniującego gwizdom „Mostu na rzece Kwai" solo na trąbce głosy drobiu, po czym zaczynają gdzieś na ulicy charczeć ogromne samochody spedycyjne PKS, udające się w dalekobieżny kurs; tynk odpada kawałami od czynszówki, podłoga i ściany drżą.

Nękany tymi dźwiękami jak przestępca poddany torturom badania trzeciego stopnia, third degree, znowu podejmujesz wątek „konia" i „drogi". I piszesz:

Koń bułany, droga śliska,
jesioklonów lament
Popraw siodło, skróć
puśliska, cwałuj na
firmament

Uciekasz więc od życia, stajesz się emigrantem wewnętrznym lub starcem cherlawym, którego oczy odwracają się od rzeczywistości, pamięć zaś wywołuje klisze dzieciństwa. Przypominasz sobie, jak siedziałeś w baśniowych górach na ojcowskim kolanie — na oklep, jak na koniu; ojciec podnosił, to opuszczał kolano, żeby ci się wydawało, że cwałujesz.

I cwałowałeś, gdy ojciec powtarzał ci śpiewnym głosem tę kołysankę końską:

Kosiu, kosiu, kochany,
pojedziemy do mamy.
A od mamy do taty
jest tam piesek kudłaty.

A wystarczy włożyć na głowę hełm astronauty, aby poić się ciszą; albo wetknąć w uszy czopki przeciwhałasowe — i zatkać nos, aby ci się udała zwięzła notatka liryczna; albo stać się gajowym w lesie, a nawet ryki niedźwiedzia i huraganów, zapachy janowców i pluskwiaków jagodziaków, światła przepuszczone przez liście, czasu burzy oślepiające jak błysk aparatu do spawania, wydzielającego siarkowy odór, wydadzą ci się naturalne i miłe, jak stąpanie po puszystych dywanach mchów.

Jakże daleko sztucznym dywanom boucle, chociaż zielonym, do tej, kojącej nerwy siatkówki, zieleni mchów leśnych?

Kwiaty z zielnika umarłych

Tulipanie, na którym gwiezdnym zajeździe twoja ślubna dziewanna? Dziewanno w ile mogilnym, gdzież twój umarły tulipan?

Co dzień fury omijają ten krzywopłot sczerniały od deszczów, zatrzymują się pod waszym dawnym zajazdem, zamienionym teraz na gospodę ludową, a ciebie w nim nie ma, umarły tulipanie.

Co noc konie badylarzy, podciągają wozy pod ten budynek z lukarnami, przez które wyglądał ku tobie twój luby, tulipan, aby ująwszy cię w spragnione objęcia, zaśpiewać żartobliwie:

„Choćbyś była jak dziewanna,
bez posagu na nic panna",

a ty leżysz w ile tej szwabskiej doliny, do której wywieziono cię jako niewolnicę; i nic cię nie obchodzi ani gospodna szafa grająca, ani bigbitowe młodzieżowe mieszane chóry; ani piski podochoconych wiejskich dziewczyn, tańczących ze wzbogaconymi chłopami o złotych zębach „za dwa talary, za dwa", też do twoich uszu nie dochodzą, dziewanno.

Przyszły śmiech armat, przeloty pojazdów kosmicznych, giełdowe haussy, baissy, kryzysy, rewolucje nie mają dla was żadnego znaczenia.

Obojętne co wam śpiewają;

Stabat Mater Dolorosa
Juxta crucem lacrimosa,
Arriba parias dela tierra,

Nieder mit den Hunden,
Nieder mit den Hunden!

Tylko my, chociaż dogorywający bezustannie jak napromieniowani Hiroszimy — i uwikłani niekiedy w wątpliwości, wierzmy w wielki dzień zapłaty, tulipanie zmieszany z prochami krematorium, dziewanno, niewolnico gnijąca w ile mogilnym Szwabii!

Rys. Wiesław Karolak

MAREK WAWRZKIEWICZ

Z wierszy dla córeczki

Bajeczka

Już przestań. Przestań płakać. Uspokój się, proszę.
Takiej głupiej książki nie kupię ci więcej.
Nie warta ta historia złamanego grosza.
Szkoda łez, naprawdę, i szkoda pieniędzy.

To nic, że smok w końcu połknął tę królewnę,
Że potem wszyscy wkoło płakali z rozpaczy.
Opowieść ta cała jest wstępem zaledwie,
A wszystko się skończyło zupełnie inaczej.

Ona była niegrzeczna i tam w smoku, w środku
Urządziła niejedną dosyć przykrą psotę.
Smok się z dniem każdym czuł coraz to gorzej,
Aż się w końcu na dobre i na szczątki rozpękł.

Królewna teraz biega w młodym zagajniku,
Goni za motylami i kąpie się w rzeczkach,
Łapie w miękki woreczek okruchy promyków
I — co tu dużo mówić — jest dalej niegrzeczna.

Nie namawiam cię przez to do naśladowania,
Bo twoich figlów ślady już na ścianach widać.
Nie bądź taka królewna i szanuj mieszkanie.
Smok jest to stwór paskudny. Ale dom się przyda.

Deszcz

Widzisz? Deszcz pada. Ociekają brzozy,
Wiewiórce w dziupli moknie ruda kita.
Chodź, będziemy sobie w ciepłym deszczu chodzić.
Po co deszcz pada? — pewnie mnie zapytasz...

Wstyd mi. Dokładnie nie wiem. Ale myślę czasem
O obudzeniu słońca po deszczowej nocy,
O bujnej zieloności wiosennego lasu,
O tym, jak kwiaty mokre otwierają oczy.

Wspominam gęste trawy w letni, ciepły ranek,
Liście, ptaki, strumyki — tyle rzeczy jeszcze...
A pamiętasz, jak kiedyś wąchaliśmy siano?
Ono tak pięknie pachnie właśnie tuż po deszczu.

Więc mi poważnych pytań nie zadawaj więcej,
To nie jest takie smutne, kiedy niebo płacze.
No popatrz, deszczyk pada i na nasze ręce,
Za które się trzymamy w ten deszczowy spacer.

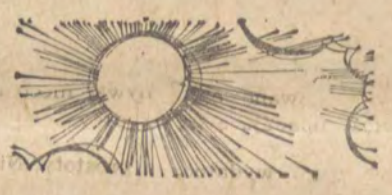

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Jeden z nich odszedł...

Jeden z nich odszedł powietrze mu obce
gniazdo szerszeni wyjąłem z zegara
czaszka pod stopą chrupnęła zwapniała
choć o piszczelu chromym kuśtykał do rana

jeden z nich odszedł powietrze mu obce

ta twarz z papierów zza krzaczastych kurzów
zza czasów rozcieńczonych w radości i winie
tak przekreślona jakimś podłym czynem
jak przestrzenie na zawsze szpadami podarte

jeden z nich odszedł powietrze mu obce

zatracił cośmy gotowi uwielbiać
a nam podkowy nam ostroga dzwoni
on cytat tamten pojął zbyt dosłownie
— „do wyboru śmierć własną mając i śmierć przyjaciela
wybieraliśmy jego śmierć myśląc zimno byle się spełniło"

jeden z nich odszedł powietrze mu obce

straże nocy minąłem kiedy jemu w brzaski
gromada błaznów mu w dzwoneczki dzwoni
bawcie się dzieci na dnie mętnej toni
najlichszy niechaj wiedzie skotopaski
lecz niech nie patrzy w siebie — zgubi pantalony

jeden z nich odszedł powietrze mu obce

RAFAŁ ORLEWSKI

Syntezy

jeśli się chylić to po garstkę ziemi
żeby mieć prawo stąpać śmiało po niej

jeśli pięść wznosić to rozbijać krzemień
aż ręka ogniem strzelistym zapłonie

jeżeli płakać to łzą niewidoczną
by śmiech siarczyście mógł tańczyć mazura

jeżeli kochać to drapieżnie mocno
by odgłos serca był jak echo w górach

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

„Ziemia nieść mię będzie w wieczność koło słońca"

(Pamięci Juliana Przybosia)

Był późny październikowy wieczór 1968 roku. Wyszliśmy z pałacyku — domu wypoczynkowego Związku Literatów w Oborach pod Warszawą w ciemności, raz po raz rozdzierane spóźnioną błyskawicą. Padał drobny deszcz, zwiędłe liście szeleszczące pod naszymi stopami były sygnałem, że jesień już w pełni. Kroczyliśmy wolno, przystawając mimo deszczu, od którego chronił nas rozłożysty, czarny parasol Mistrza. W końcu uścisk Jego delikatnej dłoni i pożegnalny pocałunek — nie wiedziałem, że to ostatnie spotkanie. Została dedykacja na „Kwiecie nieznanym" z podziękowaniem za odwiedziny i z „serdecznymi życzeniami szczęścia czyli twórczej pracy". Szczęście to praca. Sądzę, że nieodżałowanej pamięci Julian Przyboś był szczęśliwy w tym, że wiecznie będąc z siebie niezadowolonym, wciąż się projektował, korygował, odnawiał i kreował. Chyba nie przesadzę, jeśli powiem, że był więcej niż człowiekiem, bo ucieleśnieniem ideałów humanizmu i nieustannego procesu stawania się człowiekiem. Homo in statu nascendi, to o wiele więcej aniżeli człowiek konsumujący. Nagła śmierć zamknęła ten proces skupiony w jednej osobie, tworząc jednocześnie wzorzec jedyny i niepowtarzalny oraz tak specyficzny, że oryginalność owa sąsiadowała niemal z anachronicznością, bo życie to było ponadludzkim wysiłkiem, jak na możliwości człowieka dwudziestego stulecia.

Esteta i asceta. Kiedy po raz pierwszy, jeszcze jako uczeń licealny, w 1961 roku na Ogólnopolskim Zjeździe Klubu Pisarzy w Łodzi poznałem Przybosia uderzył mnie przede wszystkim Jego wygląd zewnętrzny. Drobna sylwetka, skupione ruchy, oszczędna gestykulacja, nadzwyczaj staranny ubiór i przede wszystkim twarz... Wysokie, jakby na grecki sposób wymodelowane czoło, siwe włosy opadające na skronie, błękitne oczy i usta jakkolwiek dość wydatne, wyrażające bardziej koncentrację myśli aniżeli rozwichrzoną wybujałą zmysłowość. Cera jasna, zdawało się, że słońce z niej emanuje dokoła. Mam dobrze w pamięci spacer w parku w Bronowie. Pogodny dzień wrześniowy, idealna cisza i Przyboś w niej cichy, skupiony, od czasu do czasu inkrustujący ją swym dźwięcznym, śpiewnym głosem. W klapę ciemnej marynarki wpiął maleńką stokrotkę. Jakże ona przystawała do Jego twarzy, tworząc wspaniałą jedność Natury. Całe życie spełniał się On, dążąc do jedni, którą był już za życia. Wiem, że dużo w tym jest mojego subiektywnego odczucia, zwłaszcza gdy zestawiam Przybosia — człowieka z Przybosiem — twórcą, ale jestem jak najbardziej przeświadczony (owo przeświadczenie wynoszę z kilkuletniej znajomości), że poezja autora „Próby całości" doskonale harmonizowała z Jego osobą. Twórczość poetycka Przybosia jest ewenementem dzięki temu, że będąc nader klarowną w swej językowej warstwie dała się „wyłożyć na zewnątrz" — zracjonalizowana zmysłowość i zmysłowy racjonalizm. To zadecydowało o szczególnej roli tej poezji. Zdawało mi się ciągle, że, nie wstydźmy się tego słowa, dusza, to „słońce wewnętrzne" Przybosia wyryło swoje piętno jednocześnie na Jego twarzy i było dostępne wszystkim, którzy Go znali. Podobnie z poezją, tak bardzo osobistą, o potężnym ładunku lirycznym, która jednocześnie nam wszystkim była nader bliska.

Julian Przyboś był człowiekiem niezwykle serdecznym, ujmującym w kontaktach codziennych. Czasami bywał nieco naiwny i łatwowierny, ale to wynikało przede wszystkim z dobroci i prostoty. Nie tylko w poezji, ale i w zwykłych rozmowach dążył do maksymalnej jasności wypowiadanych myśli. Stąd mówił wolno, niekiedy przeciągając poszczególne słowa, jakby je specjalnie dobierał, „dojrzewał do słowa". Cechowała Go wielka serdeczność i gościnność, nie skażona żadną przesadą czy dyplomatycznym gestem. Nic z wyrachowania, wszystko na rzecz poezji, sztuki, która, zdaniem Przybosia, miała nie tylko kształtować nowe społeczeństwo pod względem estetycznym, ale również moralnym. Nie wiem, bo za wcześnie jeszcze na taki sąd, ale był w tym wszystkim Przyboś marzycielem idealistą i przez to odrębność Jego pozycji w poezji XX wieku była równocześnie wielką samotnością, jakkolwiek bardzo pogodną, słoneczną i klarowną. W rozmowach ze mną nie dawał mi nigdy odczuć, że dzieli nas dystans przeszło czterdziestu lat, że On jest wybitnym słowa luminarzem, mistrzem, a ja... Wysłuchiwał zawsze chętnie moich uwag, sam prosił, ażebym jak najostrzej wyrażał się o Jego wierszach. Do każdej wypowiedzi podchodził z uwagą, był dobrym słuchaczem i świetnym, najczęściej bezkompromisowym dyskutantem. Stąd dla wszystkich młodych adeptów pióra był Mistrzem ich młodości dzięki wielkiej żywotności Jego umysłu i aktywnego uczestniczenia w życiu literackim. Jeżeli ktoś z młodych w ostatnim piętnastoleciu wsadzał przysłowiowy „kij w mrowisko", to był nim właśnie najczęściej Przyboś. Brzmi to paradoksalnie, ale młodość przecież nie wiekiem się mierzy.

Oprócz kontaktów osobistych z Przybosiem utrzymywałem na przestrzeni ośmiu lat łączność listowną. Odpisywał na każdy list, przysyłał książki, pisał serdeczne i życzliwe dedykacje. Jestem Mu nadzwyczaj wdzięczny — za życzliwość, jaką okazywał względem mnie, za to, że dosłownie od szkolnej ławy prowadził mnie w świat poezji. Nie mówił nigdy o swojej chorobie serca, nie narzekał, bardziej troszczył się o innych niż o siebie samego. Zwolennik japońskiej wręcz kultury ciała (nie mówiąc już o duchu) powoływał się w rozmowach na zdanie Hipokratesa: „Natura sama leczy, lekarz tylko czuwa". W pierwszym liście do mnie z 11.III. 1961 pisał o przyszłości poety: „To najtrudniejsza przyszłość, bo w nieporównanie większym stopniu niż jakąkolwiek tzw. karierę, stworzyć ją musi człowiek sam, najbardziej sam. W innych zawodach pomagają inni: szkoła, towarzysze tej samej pracy — tu, w poezji, wszystko trzeba wydobyć ze siebie samego.

To nie znaczy, że — z niczego. Przeciwnie: trzeba zacząć — od tego wszystkiego, czego w poezji dokonano — i mieć tę niesłychaną odwagę i wolę, żeby do ogromnego dzieła, już przez poetów — poprzedników dokonanego, dopisać choćby jedno swoje, przez nikogo przedtem, nie napisane zdanie".

Myślę, że fragment ów jest najbardziej zwartą i doskonałą autobiografią wielkiej pamięci Juliana Przybosia. Trudno pogodzić się ze śmiercią tak wybitnego człowieka. Piękno od nas odeszło i zarazem zostało.

Po zjeździe literaturoznawców w Piotrkowie

Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza powstało w 1886 roku we Lwowie, w celu gromadzenia materiałów dotyczących życia i twórczości autora „Pana Tadeusza", badania, wydawania i upowszechniania jego dzieł. Z czasem Towarzystwo objęło szerszą tematykę historyczno - literacką oraz akcje odczytowe i popularyzatorskie.

Kolejny ogólnopolski zjazd statutowy Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, odbył się na Ziemi Łódzkiej — w sędziwym, ale i wiecznie młodym Piotrkowie Trybunalskim. Był to w 84-letnich dziejach Towarzystwa pierwszy zjazd odbywany w mieście niestołecznym, niewojewódzkim (dwa lata temu zjazd odbył się w Białymstoku, cztery lata temu — w Gdańsku).

— Dlaczego więc na miejsce obrad tegorocznego zjazdu literaturoznawców polskich wybrano Piotrków Trybunalski? — Z takim pytaniem zwróciliśmy się do dr Michała FIDELUSA, prezesa piotrkowskiego Oddziału Towarzystwa i wicedyrektora miejscowego Studium Nauczycielskiego.

— Sądzę, że wyróżniono nasze miasto nie tylko ze względu na fakt — o czym kiedyś powiedział Kromer — iż leży ono w „pępku Polski". Jest to wyróżnienie naszego oddziału, zaliczanego do czołowych w kraju, choć powstał on dopiero w październiku 1967 roku, rozpoczynając systematyczną pracę w styczniu 1968.

— Piotrkowianie, z którymi rozmawiałem, podkreślają, iż dzięki Towarzystwu mogli się oni na przestrzeni ostatnich dwóch, trzech lat spotkać z wybitnymi polskimi literaturoznawcami, którzy przedtem nie bardzo wiedzieli „jak się do tego Piotrkowa jedzie..."

— Dużym powodzeniem cieszą się nasze spotkania. Gościliśmy prof. dr **Eugeniusza Sawrymowicza**, prof. dr **Zdzisława Liberę**, red. **Wojciecha Natansona**, mgr **Zdzisława Najdera** — cenionego konradystę i to także poza Polską, zresztą ucznia piotrkowskiego Liceum im. Chrobrego. Spotkań tych było 19, a muszę dodać, że także piotrkowscy prelegenci wygłaszali ciekawe odczyty zarówno na forum Towarzystwa w naszym mieście, jak i poza nim — w Częstochowie, Łodzi, Radomsku, Busku Zdroju...

Tyle dr Michał Fidelus. Ze swej strony dodajmy, że w piotrkowskim Zjeździe Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza uczestniczyli wybitni polscy historycy literatury. Otwierając obrady prezes ZG Towarzystwa prof. dr **Julian Krzyżanowski** — członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk przypomniał 84-letnie dzieje tej organizacji. Po olbrzymich stratach, jakie nauka polska poniosła w czasie II wojny światowej Towarzystwo liczyło zaledwie kilkunastu członków, a obecnie poprzez oddziały terenowe działa w 26 miastach Polski. Jednym z celów Towarzystwa — mówił prof. Krzyżanowski — jest organizowanie ośrodków działalności naukowej również poza miastami akademickimi.

W Piotrkowie właśnie działa od trzech lat najliczniejszy poza Warszawą oddział Towarzystwa, rozwijając i kontynuując naukowe i kulturalne tradycje tego miasta.

Piotrkowska sesja poświęcona była literaturze Młodej Polski. Na program obrad złożyły się referaty: prof. dr **Juliana Krzyżanowskiego** „Neoromantyzm po latach osiemdziesięciu", prof. dr **Artura Hutnikiewicza** „Upadek i odrodzenie Młodej Polski", prof. dr **Henryka Markiewicza** „Przegląd najnowszych badań nad literaturą młodopolską", prof. dr **Kazimierza Wyki** „Reymont — pisarz polskiej prowincji" oraz prof. dr **Jana Nowakowskiego** „Obecność i wizja historii w dramaturgii Stanisława Wyspiańskiego".

W programie zjazdu znalazło się również miejsce na pokazanie delegatom z całego kraju piękna Ziemi Piotrkowskiej, osiągnięć miasta i regionu.

Notował: Jerzy Kisson-Jaszczyński

Przeszłość i teraźniejszość

Nowe piękno wieków średnich

Lektura książki francuskiego historyka Jacques le Goffa „Kultura średniowiecznej Europy" (PWN, 1970) nasuwa szereg skojarzeń. Przywodzi na pamięć esej znakomitego naszego znawcy kultury romańskiego średniowiecza Edwarda Porębowicza, zatytułowany „Nowe piękno wieków średnich". W początkach naszego stulecia stanowił on ambitną próbę przewartościowania tradycyjnych wyobrażeń o epoce, która nie była bynajmniej czasem jedynie panowania oschłej scholastyki, zorganizowanej dewocji i totalnego ujarzmienia człowieka.

Na naszej wizji wieków średnich ciąży od stuleci widmo schematu, wyznaczającego nie tyle to, jaka ta epoka rzeczywiście była, ile to, co my, ludzie różnych dziejowych epok i sytuacji pragnęlibyśmy w niej odnaleźć. Od czasów Renesansu poszukuje się w średniowieczu argumentu dla współczesności znacznie częściej, niż wiedzy o minionej epoce. Jej obraz taki, jaki przedstawia nam „Pochwała głupoty" Erazma z „Czerwonej Groblej" — jak zwali rotterdamczyka współcześni mu Polacy — bądź „Listy ciemnych mężów", niewiele miał wspólnego ze spokojnym i wszechstronnym spojrzeniem na owe czasy, był bowiem argumentem w światopoglądowych bojach ludzi okresu Odrodzenia. Odtąd wszelkie niemal ewokowanie wieków średnich miało już mieć ten właśnie walor. W walce z nowinkami Renesansu odwoływała się do średniowiecza kontrreformacja, jako od wieku ciemnoty i barbarzyństwa odcinało się odeń pokolenie ludzi Oświecenia w imię nowej, zracjonalizowanej wizji świata. Przywoływał je w sukurs romantyzm, ale odżegnywano się od niego w dobie pozytywizmu; wzory wieków średnich propagowała neoscholastyka i neotomizm; do wartości średniowiecza odwoływały się wszelkie kierunki nacjonalistyczne...

W takich okolicznościach mogło łatwo powstać, i rzeczywiście powstało upraszczające złudzenie, że wszelkie ewokowanie wieków średnich wyraża postawy zachowawcze i tradycjonalistyczne. Mówię złudzenia, aby zaznaczyć schematyczny charakter sądu, który w konsekwencji prowadził także do odmawiania wszelkiej wartości nurtom, które programowo odwoływały się do tej epoki, zwłaszcza zaś romantyzmowi, obdarzanemu niegdyś epitetem „kompleksu reakcji".

„Po złotych legendach przychodzą legendy czarne, a po czarnych znów złote" powiada le Goff i... chyba nie ma racji. Gdyby tak było, gdyby rzeczywiście ewolucja obrazu wieków średnich w mentalności różnych pokoleń miała się sprowadzać do jakiegoś karuzelicznego cyklizmu, nie tylko my kręcilibyśmy się w kółko, ale i nasz obraz epoki pozostawałby — choć w ruchu — ale w miejscu. A przecież tak nie jest. Nie chodzi o to, by stanąć w szeregu tych integralnych chwalców średniowiecza, zdaniem których „wynalazło ono wszystko: łuk łamany i perspektywę, czyli sztukę nowoczesną; młyn wodny, a więc w następstwie technikę maszyn; weksel, a więc kapitalizm; dialektykę, matkę postępowej myśli; miłość — stwierdził to po Engelsie Denis de Rougemont — i wreszcie śmierć, co zostało przyjęte powszechnie po pięknych studiach Alberto Tenentiego". Zadanie, jakie postawił sobie le Goff jest skromniejsze i ambitniejsze zarazem. Nie pragnie on powracać do „obskurnego i obskuranckiego średniowiecza z epoki klasycznej". „Przez półtora stulecia — pisze historyk — jakie od tego czasu upłynęło, odkryto dzięki pracy historyków, archiwistów, archeologów, filologów średniowiecze pasjonujące. Najnowocześniejsze techniki badań wciąż wzbogacają ten obraz, odnajdują ślady i zabytki, które można było uważać za zagubione na zawsze". Do głębi zmienia się na naszych oczach wizerunek tej odległej epoki.

„Średniowiecze ostatnich odkryć nie jest — powiada le Goff — średniowieczem cząstek szlachetnych, objawionych przez tradycyjną historiografię, z której wysz ła złota legenda wieków średnich. Jest to średniowiecze gruntu, fundamentów, struktur. Odważono się zastosować doń metody, w formach najnowocześniejszych, stosowane przy badaniach cywilizacji nie znających pisma, prehistorycznych i późniejszych". Takim właśnie średniowieczem zajmuje się francuski historyk w swej książce. Pragnie on pokazać to „średniowiecze gruntu", zinterpretować je „w całym jego gąszczu, we wszystkich poziomach zespolonych ze sobą i na siebie oddziałujących, bo osiągnięcia najwyższe też tkwią korzeniami w zwykłej glebie".

Próba integralnej syntezy wielkiej kultury — oto jak najkrócej można by określić dzieło Jacques le Goffa. Dyskusyjna? Zapewne, jak wszelkie nowe usiłowania. Wyrosła ona z tradycji koncepcji historii integralnej t. zw. szkoły „Annales" w historiografii francuskiej, kierunku, który podniósł sprzeciw przeciwko ograniczeniom spojrzenia historycznego, odziedziczonym po historii pozytywistycznej. Autorowi udało się uniknąć ekonomistycznych uproszczeń, charakterystycznych dla wielu współczesnych reprezentantów tego kierunku, tendencji wpychającej historyków w bariery ograniczeń horyzontu z którymi tak walczyli twórcy szkoły „Annales".

JÓZEF GRZELAK

P. S. Zwykliśmy narzekać na edytorską stronę naszych książek, ostatnio zaś jest w modzie wybrzydzanie na publikacje PWN. Chyba ta książka zamknie usta nawet najgorętszym malkontentom. Redakcja historii PWN nadała jej wspaniałą oprawę edytorską; szkoda tylko, że nie mogło się to stać... za darmo i książka jest rzeczywiście droga. Kosztuje 230 zł.

Rysował:

WACŁAW KONDEK

ANDRZEJ GRUN

A nocą w dziką zamienię się gruszę...

Nigdy nie byłem w Bidaczowie. Nie byłem i chyba tam nie pojadę. Nie szukałem tej miejscowości na żadnej mapie, nie starałem się nawet dowiedzieć, czy istnieje ona naprawdę, gdzieś pod Łęczycą lub za siedmioma górami, czy też jest tworem wyobraźni, zmyśleniem czystym. Może jest, a może jej nie ma wcale... Jeśli ten Bidaczów został od początku do końca wymyślony — po cóż go szukać? A jeśli jest rzeczywiście, może wygląda inaczej i co wtedy? Tak więc nigdy nie byłem w Bidaczowie, a mimo to znam tę wieś doskonale, znam ludzi, którzy tam mieszkają — mógłbym opowiadać o wsi i o ludziach długo, długo... Wiem o bidaczowskiej ziemi więcej niż mógłby mi o niej opowiedzieć najbardziej opasły tom pełen naukowych mądrości. Wiem wiele o spróchniałej wierzbie, o starym młynie, znam tajemnicę opuszczonego domku, w którym w dzień nikt nie mieszka, znam wszystkie przydrożne, bidaczowskie świątki i wiem różne rzeczy o tych wszystkich dziwnych postaciach, które ulepić można z bidaczowskiej gliny... Skąd wiem to wszystko? Z obrazów. Z rysunków, litografii, obrazów, z rzeźb Kondka... I dlatego nigdy nie pojadę do Bidaczowa, bo chcę, aby to wszystko, co tam zobaczyć można, pozostało w mojej pamięci takie, jakie zobaczyłem na obrazach Kondka.

Im dłużej zastanawiam się nad sztuką Wacława Kondka, tym trudniej ubrać mi moje odczucia w słowa. To z pozoru proste, bezpretensjonalne malarstwo zawiera w sobie więcej treści, niż odczytać można na pierwszy rzut oka. Kryje pod formą błahą niby, wielkie bogactwo treści różnych, wielką skalę wzruszeń. Ma dla mnie sztuka Kondka urok baśni, ma dla mnie ciepło starego pieca. Ma smak — trudnych dziś do nazwania — wspomnień z dzieciństwa. Smak po raz pierwszy, kiedyś usłyszanych bajek, po raz pierwszy czytanych wierszy beskidzkich Zegadłowicza, może Leśmiana. Smak to leciutki, ledwo uchwytny — odległy już bardzo — a jednocześnie bliski i ważny. Lecz baśniowość tego malarstwa jest tylko jednym jego obliczem i to nie najważniejszym. Inne swoje twarze kryje ono bardziej zazdrośnie.

Jest niby prymitywne — a jednak nie ma w nim śladu prymitywu. Jest niby stylizowane, a przecież żywe, czasem wręcz impresyjne. Jest niby uproszczone i toporne, a jednak i kolor i forma są aż przewrotnie wysmakowane. Jest osobliwe to malarstwo — ale osobliwością nastroju, jaki z niego emanuje, później dopiero osobliwością tematu zaskakujące. W każdym razie nie zdarzyło mi się spotkać w ostatnich latach tak bardzo **polskiego malarstwa**. I w wyrazie i w treści. Ta właśnie **polskość** jest drugą twarzą sztuki Kondka.

Kondek nazywa różnie swoje obrazy — są to więc „Ballady", „Scherza", a wszystkie razem określa mianem „Żartów". Jest to kamuflaż — bo tak naprawdę nie ma w nich nic z żartu, nic śmiesznego. Pomysł, aby nałożyć im maskę „uśmiechniętego clowna" jest pomysłem człowieka, który wstydzi się przyznać publicznie do swojej wielkiej miłości, który wstydzi się swojego wielkiego sentymentu do świata, którego już nie ma, który ginie bezpowrotnie, odchodzi w przeszłość. Do świata, którego oczy nasze już nie widzą. Dla kogo dziś stary, opuszczony młyn, rosochata wierzba, przydrożna Madonna stanowią jakąś wartość? Dla niewielu. Oni w obrazach Kondka nie dojrzą niczego śmiesznego. Przeciwnie — zobaczą smutek, łzę kręcącą się w kącie oka — małą perełkę tęsknoty i żalu za tym, co odchodzi, co ginie. Jeszcze rok, jeszcze dwa, a nie znajdzie się nigdzie naftowej lampy, która w czarodziejski sposób zmienia izbę i kontury prostych sprzętów, nie spotka się słomianej strzechy... Przydrożne świątki dawno zawędrowały do muzeów i kolekcji. Koła garncarskie wędrują do lamusa, bo kto potrafi na nich wytoczyć najprostszy garnek. Chyba to Gałczyński wyznał kiedyś, że chciałby dwie czarne wrony ocalić od zapomnienia. Tak bardzo ten wiersz, który zaplątał mi się w pamięci, pasuje do twórczości Kondka. Niewiele — dwie zwykłe wrony ocalić od zapomnienia. A jak dużo jednak.

Namalował Kondek obraz — młyn, nad stawem pochylona, poskręcana łysa wierzba, a na niej jak na Rosynancie wyciosany z drzewa Don Kichot. Czy rzeczywiście donkiszoterią jest umiłowanie ogrodów naszego dzieciństwa? Jeśli tak — to ile uboższe będą nasze dzieci, które zobaczą wiatraki na starych rycinach tylko, albo w jakimś strupieszałym skansenie — martwe konstrukcje dziwacznością swoją wywołujące tylko śmiech.

Jest więc Kondek w swoich obrazach kronikarzem, kolekcjonerem rupieci nikomu niepotrzebnych? O nie! Dla niego te rupiecie są ciągle żywe. Wiatr obraca skrzydłami wiatraków, srebrzysta od światła księżyca struga wody porusza młyńskie kamienie. W przydrożnych kapliczkach nadal stoją Madonny i Chrystusy Frasobliwe. A nocą — jak w wierszu Bursy — czart przemienia się w dziką gruszę i gra na skrzypcach...

Z wystawy Kondka koneserzy wychodzą wzruszając ramionami. Ci miłośnicy sztuki, których zachwyty nie schodzą nigdy niżej weneckiego Biennale, nie znajdują tu niczego ciekawego dla siebie. Ani nie ma tu „dramatycznego spięcia faktur", ani „podskórnego pulsowania materii ożywionej inwencją artysty", ani „totalnego konfliktu rytmów" — jest kilka zacnych diabłów polskich i złocistość drzewa, ciepła jak wczesny miód. A z upływem lat złocistość drzewa będzie się pogłębiać, i kiedyś ziemia bidaczowska namalowana przez Kondka ukaże się oczom naszym oprawna w stare, dukatowe złoto...

Patrzę na obrazy Kondka malowane na drzewie i myślę sobie, że powinny być one wydane w książkach dla dzieci. Tam jest ich miejsce. Bo jak powiedział Michałkow — pisać dla dorosłych to pół biedy, ale pisać dla dzieci to dopiero sztuka nie lada. Na wystawie Kondka widziałem wielu młodych ludzi. Nie sądzę, aby w szkołach kazano im przyjść na tę wystawę.

Jest jeszcze w obrazach Kondka jedna rzecz, która mnie w nich urzeka. To wielkie pokłady miłości do ziemi. Do ziemi, którą wyobraźnia jego ożywia, którą zapełnia różnymi dziwolągami, diabłami, strachami. A wszystkie te dziwne postacie, te diabły wsiowe, te strachy są tak przyjazne człowiekowi. Mimo smutku, mimo żalu za tym, co odchodzi, wiele jest w malarstwie Kondka prawdziwego ludzkiego optymizmu. Łagodne, zacne diabły polskie też kiedyś czas oprawi w złoto.

WASYL KOCZNOW

Stare i nowe w rosyjskiej literaturze radzieckiej

Przeszłość i dzień dzisiejszy Rosji Radzieckiej, ocena dawnych tradycji pod względem wartości kulturotwórczych — to jeden z najważniejszych tematów współczesnej literatury, choć każdy system społecznego wartościowania dóbr kulturalnych jest bardzo złożony i niejednoznaczny. Zawsze więc występuje ryzyko subiektywistycznych błędów. Mimo to pisarze temat ten podejmują, a prasa i periodyki również nie pozostają wobec niego obojętne. Obok powieści, opowiadań i poezji, w których na plan pierwszy wybija się stosunek bohatera do pomników rosyjskiej kultury i historii, pojawia się masa artykułów, esejów, reportaży mówiących o konieczności poszanowania dla starych pamiątek historyczno-kulturalnych. W parze z tym idzie akcja wydawania zapomnianych już dzieł literatury pięknej, wspomnień o pisarzach, dzienników, listów, pamiętników. Spór o narodowe tradycje, o demokratyzm literatury i sztuki rozpalał wyobraźnię wielu publicystów reprezentujących często skrajnie różne stanowiska, co znalazło wyraz w polemice między takimi periodykami, jak: „Nowyj Mir", „Oktiabr", „Mołodaja Gwardia", „Problemy literatury" czy „Moskwa". Między innymi wrócono aż do połowy XIX wieku, dokonano przewartościowania spuścizny literackiej niektórych słowianofilów lub jak ich inaczej nazywano „samobytników", którym przez długi czas przypisywano konserwatyzm poglądów przeciwstawiając ich „zapadnikom" (zachodowcom) uważanym za nosicieli postępowej myśli społecznej. O słowianofilach krytyka przez długi czas mówiła ogólnikami posługując się jedynie cytatami z zapalczywych artykułów W. Bielińskiego. Solidna analiza prac literackich „samobytników" i „zapadników" wykazała obecnie, że podział ten okazał się względny, gdyż zarówno w jednym, jak i w drugim obozie nie znaleziono absolutnej jedności poglądów na tak wówczas pierwszoplanowe sprawy, jak rewolucja i lud rosyjski. Rewolucyjna demokracja lat 60 ubiegłego wieku była też zjawiskiem niejednoznacznym i złożonym. Feliks Kuzniecow w swojej ciekawej monografii „Publicyści 1860 lat", która wyszła w serii „Życie sławnych ludzi", pisze: **„Byłoby przestępstwem wobec historii twierdzenie, że wszyscy rewolucyjni demokraci lat sześćdziesiątych byli na poziomie M. Czernyszewskiego"**. Radzieccy literaturoznawcy słusznie wysunęli ważne na tle całej dyskusji pytanie — „Dlaczego uważa się, że słowianofile nie byli rewolucyjni?" Właśnie — u w a ż a s i ę... Bo jakżeż wobec tego ustosunkować się do dekabrystów i K. Rylejewa, w którego „Dumach" mocno akcentowane są motywy słowianofilskie, jak traktować A. Hercena i P. Ogariowa — bogów słowianofilstwa — którzy w żadnym wypadku nie byli przecież wrogami zachodniej cywilizacji. Cywilizacji zachodniej nie uznawał na przykład Lew Tołstoj, ale również i patriarchalni reakcjoniści, którzy zaciekle zwalczali Tołstoja. Trudno przewidzieć jakimi wnioskami zakończy się obecna dyskusja, ale co do jednego polemiści są zgodni — rzeczywiście, zagadnienia związane z postępowymi tradycjami rosyjskiej kultury XIX wieku wymagają jeszcze wielu badań i analiz zanim zostanie powiedziane na ten temat ostatnie słowo.

Zainteresowanie przeszłością nie jest wywołane dążeniem do jakiejś „archaizacji" kultury narodowej, lecz koniecznością zrozumienia skąd biorą początek korzenie współczesnego drzewa kultury. Oczywiście, słowianofilskie tendencje we współczesnej literaturze nie są jedynym problemem — najważniejszym pozostaje rozwój wielonarodowej socjalistycznej kultury radzieckiej, ale nie jest przypadkowym fakt badań nad przeszłością obserwowany wśród innych narodów Związku Radzieckiego. Na Zachodzie również ostatnio wzrosło zainteresowanie historią Rosji, wydanych zostało wiele prac poświęconych między innymi słowianofilom. Jest to niewątpliwie rezultat wielkiej popularności Dostojewskiego — stąd zainteresowanie dla jego epoki. Spór o przeszłość przeniknął także do literatury pięknej. Jego temperaturę najmocniej odczuć można w utworze, który wywołał wiele hałasu, w „Listach z Muzeum Rosyjskiego" W. Sołouchina. Książka ta z pasją wychwala pod niebiosa kulturę przeszłości, ale od razu rzuca się w oczy brak odniesienia dnia wczorajszego do dzisiejszego. Co najwyżej Sołouchin ubolewa nad brakiem kultury malarskiej u współczesnej młodzieży uniemożliwiającym jej zrozumienie wielkich dzieł starych mistrzów, lub złości się z powodu niedostatecznej propagandy wokół imprez zaznajamiających z bogactwem spuścizny kulturalnej ubiegłych wieków.

Pod wieloma gorzkimi uwagami Sołouchina o zanikaniu szacunku dla tradycji może się, niestety, podpisać nie tylko jego radziecki czytelnik, gdyż jest to zjawisko ogólnoeuropejskie. W zaciętej polemice wokół „Listów" stroną przeważającą okazali się ich przeciwnicy, jednak mimo rzeczywistych mankamentów książka Sołouchina jest zjawiskiem wielce pożytecznym — wzbudza u czytelnika zainteresowanie tradycją, uczy troskliwego stosunku do starej kultury, która przez wieki kształtowała wyobraźnię narodową i układ psychiczny charakteru narodowego. Nihilistyczny stosunek do tradycji narodowych Sołouchin tłumaczy nie kataklizmami społecznymi, lecz stopniowym spłyceniem ludzkiej pasji twórczej, niedostatecznym wychowaniem estetycznym młodzieży nieuchronnie sygnalizującym kryzys sztuki światowej. Jest w tym pesymizmie wiele goryczy, ale można też usłyszeć w nim wołanie o odrodzenie poprzez sztukę ducha człowieka, jego ideałów. W tym wołaniu nie jest Sołouchin odosobniony.

Pojęcie literatury, rozumienie jej roli zaczyna w naszych czasach ulegać poważnym zmianom. Dla przykładu: w radzieckiej poezji coraz rzadziej pojawiają się poematy i wiersze, których tematyka jest jasno sprecyzowana. Czym można wytłumaczyć takie przeobrażenia np poematu, tego do niedawna epickiego gatunku? Prawdopodobnie, bardziej świadomym stosunkiem poetów do opisywanej rzeczywistości, a również tym, że poeci w poszukiwaniu nowych środków wypowiedzi nie mieszczą się już w starych ramkach epiki.

Współczesna proza radziecka również często odbiega od tradycyjnego powieściowego wątku fabularnego i daje się w niej zauważyć proces przewartościowania klasycznej formuły. Pisarze chętnie zwracają się obecnie do gatunku groteski charakterystycznej dla twórczości Gogola, Sałtykowa-Szczedrina, Dostojewskiego, Bułhakowa. W formie groteski utrzymane są powieści W. Aksjonowa, — „Przetowarowana beczko-tara", B. Okudżawy — „Nieszczęsny Awrosimow", ostatnie powieści W. Katajewa — „Święta studnia" i „Ziele zapomnienia".

W. Aksjonow opisuje świat metodą udziwnienia fabuły i bohaterów, wyobcowania ich niejako z konkretnego życia, z jego współzależności i uwarunkowań, choć odczuwa się to dopiero po zamknięciu przeczytanej książki. W czasie czytania świat zewnętrzny i świat wewnętrzny postaci wydają się realne i normalne. Aksjonow napisał ostatnio kilka takich „dziwnych" utworów — „Mały wieloryb — lakiernik rzeczywistości", „Zwycięstwo", „Szkoda, że nie było was z nami". Czytelnik znający jego wcześniejsze powieści: „Koledzy" czy „Gwiezdny bilet" mógł być zaszokowany takim odejściem autora od uświęconej powieściowej konwencji. Być może nie był nawet zadowolony, że wyobraźnia Aksjo

Trzy pary butów dla Polaka

TERESA WOJCIECHOWSKA

O człowieku, który jest w złym humorze mówi się, że wstał lewą nogą. Mam w tej sprawie nieco odmienne zdanie, bo jeśli już w nogach szukamy przyczyny ludzkich humorów, to uważam, że tą przyczyną może być zarówno lewa jak i prawa, jeśli jest niewygodnie obuta. Albowiem nieważne jest którą nogą się wstaje, lecz do jakiego buta się ją włoży.

Na temat polskiego obuwia przepłynęła już rzeka atramentu tak ogromna, że mogłaby z tego powstać księga pod tytułem „But a sprawa polska". Powtórzę więc raz jeszcze starą piosenkę: w sklepach zatrzęsienie obuwia. Z wystaw wprost się wysypuje, uginają się półki sklepowe. A ludzie chodzą i szukają. I albo nie znajdują fasonu, albo numeru. I wciąż nie ma winnego. Do znudzenia powtarzają się obuwnicze rozgrywki ping-pongowe, odrzucanie piłeczki — odpowiedzialności we wciąż nie rozegranym meczu przemysł — handel.

Żeby nie być posądzoną o stronniczość powiem: jest znacznie lepiej niż było przed kilkoma laty, jest znacznie większy wybór, fasony są modniejsze. Ale przed kilkoma laty było **bardzo** źle. A poza tym jest znacznie lepiej również w innych dziedzinach przemysłu ubierającego nas, czyli lekkiego. Jest więcej ładnych tkanin, jest więcej modnej odzieży, w dziedzinie konfekcji szybciej niż dawniej docierają do nas nowości. Zresztą, łatwiej uszyć modną sukienkę, niż zrobić buty. W efekcie — przemysł obuwniczy wolniej nadąża za modą niż inne przemysły.

Na co dzień i od święta

Przeciętny obywatel(ka) kupuje dwa rodzaje obuwia: tak zwane do chodzenia, na co dzień i tak zwane wizytowe, które kładzie się do ubrania popołudniowego lub wieczorowego. Pierwszy rodzaj to obuwie sportowe, w znacznie mniejszym stopniu podlegające kaprysom mody. Jego główna zaleta to funkcjonalność. Ma ono być miękkie, wygodne, niedrogie. Najpopularniejsze są tu tzw. welury, od dawna wypróbowane, bardzo popularne. Wydawałoby się, że nie ma przeszkód, by w tej dziedzinie zaspokoić potrzeby klientów. A tymczasem welurów brak. Zarówno męskich jak i damskich.

Przemysł mówi: — rozbudowaliśmy, unowocześniliśmy moce produkcyjne, zwiększyliśmy asortyment. Każde zamówienie handlu może być zrealizowane. Ale handel boi się ryzyka, handel nie ma rozeznania rynku.

Handel odpowiada: — obuwia welurowego jest wciąż za mało. Na pierwszy kwartał przyszłego roku zamówiliśmy (mowa o łódzkim pionie MHD) 3.600 par obuwia welurowego. Chełmek sprzedał nam 800 par i Nowy Targ 800. To wszystko, więcej nie możemy uzyskać. A zamówiliśmy tylko 3.600 par, licząc się z możliwościami przemysłu. Chłonność rynku jest taka, że w tej chwili zakupilibyśmy 6 tysięcy par.

Ale przejdźmy do butów „od święta".

To właśnie obuwie, od którego wymagamy, żeby było modne, żeby było urozmaicone, a jeśli idzie o dzień dzisiejszy — żeby miało trapezowate, rozszerzone ku dołowi obcasy, szerokie nosy, żeby było sprzedawane w dużej różnorodności wzorów i kolorów.

Przemysł mówi: robimy obuwie modne i najmodniejsze, oparte na wzorach zachodnich, wprowadzamy nowe rodzaje skór i tworzyw, służymy handlowi wszystkim, czego tylko zapragnie. Najlepszy dowód — nasze kolekcje na przeglądach, na Targach Poznańskich. Tegoroczna jesienna kolekcja wywołała prawdziwy zachwyt gości krajowych i zagranicznych.

A tymczasem w sklepach, które rozpoczęły sezon jesienno-zimowy, pojawiła się masa półbutów i botków damskich zwanych pospolicie kozakami. Na 15 modeli co najmniej 10 jest powtórzeniem z ubiegłego roku, a nawet z odległych lat. Te same wzory, fasony. Obnoszone zeszłej zimy kozaki znów odżyły w kolejnym wydaniu, znów powędrują na damskie nogi, bo jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Zaledwie w kilku fasonach obcasy nieśmiało poszerzone ku dołowi, nieco szersze nosy.

W obuwiu wizytowym podobna sytuacja. Więc przemysł może robić, a handel nie zamawia? Dlaczego ten handel kręci sobie ciągle stryczek na własną szyję, dlaczego się kompromituje?

Handel odpowiada: Istotnie, na ostatnich Targach Poznańskich „Jesień 70" była piękna kolekcja. Ale przy większości tych najpiękniejszych modeli widniały notatki: „produkcja eksportowa", lub „produkcja informacyjna". Wiadomo, że produkcja informacyjna nigdy nie bywa produkcją masową. Poza tym my możemy składać zamówienia tylko według katalogów, które otrzymujemy, a to ogranicza swobodę działania. Notabene z ostatniego zamówienia skreślono nam nowości ze skór syntetycznych clarino i corfam.

Mecz trwa

Między przemysłem a handlem trwa nie rozegrany wciąż mecz przerzucania odpowiedzialności za istniejący stan rzeczy. Nie czuję się na siłach określić, która drużyna jest silniejsza, która wygra. W ostatnim okresie wzrosła znacznie ilość reklamacji składanych przez klientów. W głównej mierze dotyczy to obuwia importowanego, hiszpańskiego i greckiego. Ale i polskie buty wracają do sklepów. Odpadają obcasy, odklejają się zelówki, skóra zmienia kolor, skay pęka. Na przykład botki. Przemysł oferuje handlowi kozaki ze skayu, handel domaga się skórzanych. Bo 90 procent reklamacji dotyczy obuwia ze skayu. Nie wytrzymał próby polskiej zimy. Przemysł mówi, że może zrobić wszystko i w każdej ilości. A tymczasem na rynku wciąż brak obuwia młodzieżowego (szczególnie w numeracji 5 i 6) — handel o tym wie, handel zamawia. Może więc teoretycznie moce przemysłu są wystarczające, a praktycznie polityka poszczególnych fabryk niewłaściwa? Dla utwierdzenia się w swych sądach odwiedziłam łódzką „Contessę", jedyną fabrykę obuwia w tym mieście, produkującą letnie pantofle damskie, od niedawna w małych ilościach także sportowe, jesienne. Na taśmie zobaczyłam już obuwie letnie na przyszły rok. Ten sam fason z pasków, który był w sprzedaży w ubiegłym roku w olbrzymich ilościach. Na tych samych kopytach, z tymi samymi obcasami, produkuje się bez żadnych zmian, bez zmartwienia o modę. W tym roku nosiła tę pantofle mniej więcej co czwarta łodzianka. Reszta będzie mogła się w nie zaopatrzyć w roku przyszłym. I pewnie zaopatrzy się jeśli nic innego nie będzie w sprzedaży. W nowej kolekcji proponowanej przez „Contessę" wpływ mody jest zaledwie muśnięciem. Obcasy co najwyżej proste, kopyta stare.

A tymczasem Zjednoczenie Przemysłu Skórzanego informuje mnie, że z nabyciem nowych kopyt nie ma żadnych trudności. Fabryka w Nowym Targu produkuje dostateczne ilości, kopyta są stale modernizowane. Od dwóch lat sprowadza się kilka razy w roku nowe kolekcje najmodniejszych kopyt z Anglii. Poza tym kopyto ma określony czas amortyzacji, z jednego nie należy robić więcej niż 150 par obuwia, potem musi być wymieniane.

Tyle teoria, a w praktyce widać, że fabryki eksploatują kopyta ponad miarę, że te same fasony produkują przez dwa lub więcej sezonów, że dobre nawet fasony psuje niestaranne wykończenie lub tandetne dodatki.

Przemysł prezentuje swoje nowości w dwóch sklepach branżowych. Chełmka przy ul. Nowotki i Skogaru przy ul. Zachodniej. Ta „delikatesowa" sprzedaż gromadzi kolejki klientów na długo przed otwarciem sklepów. Są one przepełnione przez cały dzień i oczywiście niewielu jest wybranych, którzy buty tam kupią. Zresztą, ostatnio i tam nowości jak na lekarstwo, a np. welurowego obuwia brak. Nie miejmy o to pretensji do handlu, choć i on nie jest bez winy.

Kto jest panem rynku?

Handel jest bierny. Handel bierze to, co mu przemysł daje. Handel prosi, nie żąda, handel ma w zbyt małym stopniu wpływ na kształtowanie produkcji. I dlatego zawsze będzie odpowiedzialny za to co jest w sklepach. Handel za mało odrzuca, za dużo przyjmuje, czasem powstają z tego przykre (dla klienta) sytuacje. Dla przykładu. W ubiegłym roku zniknęły ze sprzedaży botki filcowe zwane tatrzankami. Obuwie bardzo popularne wśród młodzieży i osób starszych, o chorych, zniekształconych nogach. Obuwie ciepłe, tanie, miękkie. Tu na pewno trudności surowcowych nie było, więc dlaczego tatrzanek nie ma w sklepach? Bo przed dwoma laty rynek został zasypany tego typu obuwiem. Handel przestraszył się, wstrzymał zamówienia, przemysł przestał produkować. Część maszyn gorliwie rozmontowano i zlikwidowano. Wszystko wskazuje na to, że tatrzanek i w tym roku nie będzie w dostatecznej ilości. Ot, nieumiejętność przewidywania, planowania, brak dbałości o interesy klienta.

Produkcja polska plus import dają w sumie trzy pary butów rocznie każdemu statystycznemu Polakowi. To chyba raczej niedużo biorąc pod uwagę cztery pory roku, złośliwy klimat, sól na chodnikach i nietrwałość niektórych gatunków na przykład obuwia tekstylnego. W tym właśnie leży, zdaje się, sedno sprawy. Nasz rynek jest ciągle jeszcze rynkiem producenta, a nie rynkiem konsumenta. Kupujemy to, co jest, bo musimy w czymś chodzić, bo hippiesowska moda „na bosaka" nie ma szansy szerszego upowszechnienia. A szkoda. Jeden rok takiej mody i bylibyśmy panami rynku, głos decydujący miałby wreszcie klient.

Produkcja naszego przemysłu obuwniczego liczy sobie już sporo ponad dwadzieścia lat. Umiemy robić buty ładne, modne, eleganckie. Inaczej nie dostalibyśmy się na rynki zagraniczne, gdzie nasze obuwie konkuruje z zachodnioeuropejskim. Byłoby szalenie dobrze, gdyby nasi producenci traktowali nogi polskie z równą atencją co na przykład nogi angielskie, radzieckie czy kanadyjskie. I żeby mecz między przemysłem a handlem został wreszcie zakończony, a obaj zawodnicy zaczęli mówić o własnych, a nie przeciwnika błędach.

---

nowa narzuca mu dziwną fabułę: W Symferopolu nieoczekiwanie pojawia się Herostrates i podpala nowoczesny ważny gmach oblewając go awiacyjnym paliwem. Wielki Arcymistrz z opowiadania „Zwycięstwo" postępuje nie mniej dziwnie — przegrywa partię w szachy z przypadkowym sąsiadem, z przedziału, który dopiero co zapoznał się z zasadami tej gry. Narzucają się tutaj pewne analogie do rosyjskiej prozy XIX wieku, której podobne grotesko we udziwnienia, satyryczna hiperbola, zmaterializowana jakby metafora — nie były obce. Nos majora Kowalowa z „Opowieści petersburskich" Gogola, czy głowa gubernatora w „Historii jednego miasta" Saltykowa-Szczedrina są chyba wystarczającym tego dowodem. Choć można tu jeszcze przypomnieć jak Dostojewski opisuje urzędnika zjedzonego przez krokodyla na oczach tłumu w pasażu petersburskim. Połknięty urzędnik przyzwyczaja się szybko do nowego otoczenia (w brzuchu krokodyla), mieszka tam sobie wygodnie i potrafi wykorzystać swoją niecodzienną sytuację z pożytkiem dla siebie.

Znaczenie groteski satyrycznej u Gogola łatwo zrozumieć, jeżeli skoncentrować uwagę nie na absurdalności spacerów nosa po ulicach Petersburga, lecz na reakcji ludzi, którzy mają do czynienia z tym fantomalnym wypadkiem. Reagują tak, jakby nic dziwnego się nie zdarzyło.

Akcja aksjonowskiej „Przetowarowanej beczko-tary" wprowadza nas od razu w atmosferę gry, umowności. Obcy sobie ludzie — inteligent, kierowca, marynarz, nauczycielka i bajarz — trzęsą się w pudle ciężarówki po wyboistych drogach do „powiatu", gdzie każdy z nich ma do załatwienia jakieś sprawy. Jazda zbliża ich, przeżywają dziwne, rzeczywiste w swojej nierealności wydarzenia, śnią się im fantastyczne sny, każdemu inny, jakiś szczególny, związany z jego trudnościami życiowymi, ale wszystkie je łączy jedna postać Dobrego Człowieka, który rozumie każdego z nich z osobna i wszystkich razem. Dlatego też po osiągnięciu „powiatu" bohaterzy nie rozstają się, grupowo załatwiają po kolei swoje sprawy. „Przetowarowana beczko-tara" to przypowieść o przezwyciężeniu upodlenia ludzkiego. Ta zwykła i wieczna jak świat prawda podana jest czytelnikom w pięknej formie, dalekiej od schematyzmu i natrętnej dydaktyki. Kiedy autor przemienia Romantykę w głuszca, w kozę i inne niezbyt poetyczne stworzenia, to zasługą jego talentu jest zrozumienie tych przeistoczeń nie jako kompromitacji romantyki w ogóle, lecz tylko płaskiego i wulgarnego pojęcia o pięknie w życiu i w sztuce. Fantastyczność jest tylko naskórkiem, pod który chronią się filozoficzne rozmyślania o życiu współczesnym. Żeby odczytać w takiej prozie moralne i ideowe credo autora, czytelnik musi posiadać umiejętność samodzielnego myślenia, pewną kulturę rozumowania. Fantastyczna realność ma już pewne tradycje w radzieckiej literaturze. Udziwnioną prozę uprawiali M. Bułhakow, J. Olesza, W. Iwanow i inni.

„Nieszczęsny Awrosimow" B. Okudżawy jest powieścią historyczną, ale również powieścią burzącą utarte pojęcia o tym gatunku literackim. Bohaterem książki jest tzw. szary człowiek — znany literaturze od czasów Gogola — pisarczyk Iwan Awrosimow prowadzący protokóły przesłuchań aresztowanych dekabrystów. Okudżawa także odwołuje się do konwencji, w której świadomość ludzka akceptuje fantastyczne zjawiska i przeistoczenia jak to się działo z postaciami Gogola, Dostojewskiego, Bułhakowa. Akcja w większej części odbywa się nie w rzeczywistej realności, a w świadomości Awrosimowa. W powieści nie ma więc historycznej faktografii i wierności epoce, co jest właśnie niezbędnym elementem historycznej epiki. Okudżawa opowiada o duszy Awrosimowa, o jego walce z samym sobą, z wykształconymi przez epokę pojęciami dobra i zła. Historia i jej realia potrzebne są Okudżawie tylko jako narzędzia odsłaniające moralny pojedynek bohatera. Pisarz sięgnął do wypróbowanego sposobu i powołał do życia zmaterializowany symbol zła — szatana. Jednym z podstawowych problemów powieści jest zagadnienie zdrady. Postawa dekabrystów w czasie śledztwa doprowadza do „przewrotu" w duszy Awrosimowa, a każde zdarzenie realne kontynuuje swój żywot w świadomości bohatera. Oto, na przykład, minister wojny Tatiszczew wsiadając do karety kiwa na Awrosimowa i podstępnie pyta go o buntownika Pestela: **„A gdyby cię tak spotkał z miesiąc temu i obiecywał raj na ziemi, to byś pewnie poleciał za nim z radością co?"** Kareta odjeżdża. Ale Awrosimow spotka ją jeszcze raz. Po jakimś czasie wyłoni się ona w jego fantazji z mroku i zamieci i minister wojny otwierając drzwiczki znów go zapyta: **„I ty byś pewnie poleciał za nim, gdyby tylko kiwnął na ciebie..."**

Walentin Katajew, autor wspaniałej tetralogii „Fale Morza Czarnego" (pierwsza jej część to znana powieść „Samotny biały żagiel") zdumiał czytelników zupełnie nietypowymi dla siebie książkami. „Ziele zapomnienia" to stop prozy i poezji, wspomnień, pamiętników i esejów. W książce można znaleźć wszystkie gatunki literackie: nowele, listy, pamiętniki, wiersze, reportaż, sceny dramatu itp. Więcej — pisarz od czasu do czasu wprowadza jakiś nowy gatunek literacki — koszmarny sen, symbolicznie odsłaniający sens realnych zdarzeń, którego szuka bohater książki. Nadlatuje huragan koszmarnych przywidzeń, jakieś straszne sceny, głosy, kadry zmieniają się błyskawicznie, a cały ten potok wypływa z mrocznych głębi przerażonej podświadomości. Zdawać by się mogło, że jest to taki fragment książki, który zanegują wszyscy krytycy, lecz nagle kurtyna mgły unosi się, wszystko staje się psychologicznie uzasadnione realnością zdarzeń. Następuje realistyczny opis rewolucyjnej Odessy, Moskwy, Piotrogradu. Przekonywająco, z charakterystycznymi szczegółami przedstawia Katajew swoje spotkania z I. Buninem, W. Majakowskim, O. Mandelsztamem. Ani jedna powieść nie przekazywała tak żywo epoki narodzin nowej Rosji, jak nowe książki Katajewa. Odnosi się wrażenie, że wszystko tu zostało zafiksowane współcześnie historii, stenograficznie — wierszem, notatką w dzienniku, dialogiem, szkicem — aby tylko zdążyć zanotować, uchwycić żywą mimikę rzeczywistości, jej sens, charakter, ideały. Fabuła rozwija się po śmierci bohaterów powieści — w partiach wspomnieniowych w czasie teraźniejszym — diagramy czasowe nakładają się.

Dwudzieste lata naszego wieku — to w literaturze radzieckiej epoka nowatorstwa, kształtowania się nowych form w życiu i sztuce. Ale nie mają racji ci, którzy twierdzą, że obecne dziesięciolecia — to okres zastoju. Drążenie, zgłębianie przez sztukę życia, poszukiwania nowych środków wyrazu trwają. Wiele, na przykład, pisano o wojnie. Ale czy temat ten jest już wyczerpany? Literatura coraz to wzbogaca się o nowe dzieła — przypomnijmy choćby powieści rekapitulujące okres wojny z innych pozycji, niż literatura wojennych lat. Będą to książki K. Simonowa, J. Bondariewa i innych pisarzy starszego już pokolenia. Ale wojna, jak wiadomo, pozostawia w psychice człowieka trwały ślad, więc i młodzież literacka mając do czynienia z bohaterem starszego pokolenia musi się ustosunkować do tego okresu. I robi to oczywiście także z innych, swoich pozycji. W ciekawej powieści W. Sierdiuka zatytułowanej „Powieść o dziennikarzu" główną postacią jest były żołnierz, który psychicznie tkwi ciągle jeszcze we frontowym życiu sprzed dwudziestu lat. W. Sierdiuk udowadnia tą postacią, że eksplozja wojny nawet po dwóch dziesiątkach lat może w dalszym ciągu rujnować życie duchowe człowieka niszcząc w nim hamunitaryzm wpojony przez rodzinę i społeczeństwo. Jednocześnie Sierdiuk chciałby pokazać, że literatura, publicystyka (postać dziennikarza) nie ma prawa przymykać oczu na straszne ślady wojny, że ma obowiązek walczyć o odrodzenie człowieka, o odnowę jego osobowości.

Nowy czas przynosi nowe rozumienie świata. Poezja coraz częściej wyraża myśl o rzeczy, asocjację, a coraz rzadziej optyczną iluzję rzeczy. „Ja — Michajłowskoje" — ten jeden werset Wozniesieńskiego wyzwala od razu lawinę cuchową reakcję skojarzeń. Oczywiście, połączenie „Michajłowskiego" z lirycznym „Ja" jest głęboką metaforą tylko wówczas, jeśli czytelnik wie, czym było Michajłowskoje w historii literatury rosyjskiej, jeśli postara się zrozumieć intencje autora i jego widzenie człowieczego losu.

Asymilacja starych i nowych środków wyrazu w sztuce jest procesem niełatwo poddającym się analizie, odbywa się ona w wielkiej tajemnicy, w świadomości twórcy. Asymilacja ta daje twór nowy, nie podobny do starego, ale jest to jednakże produktem asymilacji, więc tradycja nie ginie bez śladu, jak niesłusznie, moim zdaniem mniema Sołouchin. W stosunku do przeszłości nie powinno się wyznawać ani nihilizmu, ani pokory. Radzieckiej literaturze obcy jest także sztuczny „folkloryzm", który zakłada hołdowniczy stosunek do masowego czytelnika, schlebianie jego nie zawsze przecież dobrym gustom. Środowisko czytelnicze jest bardzo zróżnicowane, więc tym bardziej pisarz nie powinien orientować się na najbardziej zacofane grupy. Demokratyczność literatury na gruncie marksizmu-leninizmu należy rozumieć jako wyrażanie najważniejszych problemów narodu w najbardziej doskonałych formach, aby w ten sposób podnosić kulturę czytelnika i tworzyć ogólnonarodową kulturę. Do tego sprowadza się wychowawczo-estetyczna rola literatury.

TP OBIEKTYW

ŻYCIE — WIECZNE KONANIE

Teatr telewizji żywi się adaptacjami. Inspiracja literacka — inaczej niż we współczesnym kinie — leży u podstaw jego powodzenia. Bogatym źródłem, z którego chętnie czerpią adaptatorzy telewizyjni, okazuje się polska literatura międzywojenna.

Tylko w tym roku odnotować należy adaptacje już trzech bestsellerów powieściowych dwudziestolecia. Po „Granicy" Zofii Nałkowskiej (reż. J. Warmiński) i „Dziewczętach z Nowolipek" Poli Gojawiczyńskiej (reż. S. Wohl, adapt. tekstu I. Bołtuć) — „Cudzoziemka" Marii Kuncewiczowej. To ostatnie widowisko przygotowali: J. Kulczyński — reżyseria i M. Komorowska — adaptacja tekstu.

Znakomitość tworzywa literackiego nie jest bynajmniej przepustką do sukcesu artystycznego widowiska, które w oparciu o nie powstało. Myślę, że zarówno telewizyjna „Granica", jak i telewizyjne „Dziewczęta z Nowolipek" pozostawiły zwłaszcza miłośnikom tych powieści uczucie niedosytu, a nierzadko i zawodu.

Z pewnością i „Cudzoziemka" Kuncewiczowej wyszła z adaptacyjnych zabiegów zubożała i okaleczona. Ale czy mogło być inaczej? Czy złożona i subtelna tkanka powieści o kobiecie, dla której życie było „wiecznym konaniem", mogła zachować swą pełną wymowę na ekranie? Nie zdaje mi się.

Nie sądzę też, by adaptacja telewizyjna miała nam zastąpić czytanie książki. Przeciwnie, powinna do niego zachęcić. Sam czytałem „Cudzoziemkę" dość dawno, miałem mgliste wspomnienie tej książki, gdy oglądałem jej adaptację. Nazajutrz jednak sięgnąłem po powieść i odczytałem ją z wielkim zainteresowaniem. Była to lektura odmienna od tej sprzed lat, gdyż teraz konfrontowałem swoje wrażenia czytelnicze ze świeżym wspomnieniem spektaklu.

„Cudzoziemka" to interesujące studium psychologiczne kobiety. Określenie bohaterki mianem cudzoziemki jest wieloznaczne. Na pierwszym chyba miejscu wymienić należy skomplikowany i kręty bieg losów polskich w okresie niewoli. Wnuczka kapitana Żabczyńskiego, który z Napoleonem przemierzał Europę, oddając za sprawę polską ofiarę krwi pod Sant Leo, Somosierrą i Hohenlinden, córka petersburskiego elewa korpusu kadetów, który do stryja w kraju pisał rozpaczliwy list, że wśród Rosjan zapomina polskiego języka, znalazła się w sytuacji, w której nikt nie uważał jej za swoją.

W Taganrogu, gdzie chodziła na pensję, mówiono na nią z przekąsem „warszawskaja baryszniа", gdy wróciła do Polski, jej akcent z rosyjskimi zaśpiewami powodował, że nazywano ją moskiewką. Antagonizmy między dwoma narodami, podsycane przez carski aparat władzy, godziły w Różę (albo Elcię — w różnych okresach życia inaczej ją nazywano), raniły jej ambicję i powodowały, że wszędzie czuła się obcą.

No i nieszczęśliwa miłość, która spowodowała, że Róża trwała przez całe życie w uczuciowej drętwocie, że każdym słowem raniła najbliższych sobie, że mściła się „na Polsce, gdzie ją nieszczęście spotkało, i na mężczyznach". Sama była nieszczęśliwa i niweczyła szczęście innych z wewnętrzną złością, która była silniejsza od niej.

A przecież, gdy życie naprawdę zaczęło z niej uciekać, do głosu doszedł żal, że tak pokierowała swoim losem. I przekonanie, że „za każdą cegiełkę tej Polski gotowa była z radością umrzeć!"

Zadanie aktorskie Haliny Mikołajskiej nie należało do łatwych. Wstępną, lecz niemałą trudność stanowiła wymowa Róży. Jej rosyjski akcent zastąpiła Mikołajska śpiewną mową kresową, wileńską. Ale manierę tę utrzymać musiała konsekwentnie przez całe przedstawienie, co rozszczepiało uwagę aktorki.

W powieści analiza życia wewnętrznego bohaterki dokonuje się stopniowo, drogą retrospekcji nawiązujących do najdramatyczniejszych jej przeżyć w przeszłości. Jej odezwania i postępki zyskują dzięki temu bogate zaplecze, układają się w odbiorze czytelnika w uzasadnione, jednorodne malowidło.

Mikołajska, z woli adaptatorów, nie korzysta z tych pokładów narracyjnych. Wolno jej co najwyżej wspomnieć wydarzenia przeszłości w rozmowie. A przecież aktorce udaje się stworzyć postać pełną, przez którą nie przeświecają pozostawione przez adaptatorów luki. Swym niezaprzeczalnym talentem aktorskim przechodzi nad niedostatkami tekstu dramatycznego i tworzy własną wizję Róży-Elci, która czasem nas drażni, czasem prowokuje do namysłu, czasem budzi sympatię i współczucie, ale nigdy — uczuć nudy i obojętności.

Nie będzie przesady, gdy stwierdzę, że Mikołajska uratowała adaptację „Cudzoziemki". W pewnym stopniu udało się jeszcze Czesławowi Wołłejce zarysować postać męża Róży Adama. Inne postaci — syn Władyś, córka Marta, synowa i zięć, to już tylko komparsi, bezbarwne cienie postaci powieściowych, których żadnemu z wykonawców nie udało się ożywić.

Odnotowujemy w pamięci: „Cudzoziemka".
Odnotowujemy w pamięci: Mikołajska.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
— „Straszny dwór	1	680	55
— „Królewna Śnieżka	2	2215	90
— „Lohengrin"	1	1020	80
— „Zemsta nietoperza"	1	1154	90
NOWY			
— „Janosik"	4	2000	80
— „Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	1	600	90
— „Zemsta"	1	700	100
NOWY — MAŁA SALA			
— „Teoria Einsteina"	3	450	75
— „Rodeo"	2	400	100
POWSZECHNY			
— „Wszyscy moi synowie"	2	1000	90
— „Lizystrata"	3	1800	100
JARACZA			
— „Wszystko w ogrodzie"	5	2250	88
7.15			
— „Grube ryby"	4	1864	100
OPERETKA			
— „Miłość szejka"	7	5627	73

LISTY REDAKCJI do REDAKCJI

PANIE REDAKTORZE!

W związku z artykułem p. Konrada Frejdlicha pt. „Z podróży po NRD", który pojawił się w 39 Nr. Waszego pisma, znalazła się wzmianka, która w żadnym stopniu nie odpowiada prawdzie historycznej, wynikła jak by należało sądzić z przejęzyczenia Autora. Mianowicie Frejdlich omawiając działalność pruskiego partyzanta z okresu wojen napoleońskich Adolfa Luetzowa, w którego domu przebywał, pisze co następuje. „Kim był Luetzow? Długo musiałem wysilać pamięć, żeby umiejscowić von Luetzowa w okresie wojen napoleońskich. Był pruskim oficerem, który po kolejnych klęskach swej ojczyzny zorganizował korpus ochotniczy wsławiony walką z Francuzami. Działo się to w roku 1813. Po klęsce Bonapartego podniesiono go do godności generała. **U nas w Polsce, a raczej we wszystkich trzech zaborach bonapartyzm stał się w tym czasie przestępstwem politycznym i uczestnicy wojen napoleońskich musieli uchodzić na emigrację."**

Otóż Szanowny Autor w ferworze publicystycznym zanadto dał się ponieść swej fantazji, ponieważ po upadku Napoleona na terenie zarówno Księstwa Warszawskiego, jak i trzech zaborów nie tylko nie zastosowano żadnych represji w stosunku do uczestników wojen napoleońskich, lecz przeciwnie starano się ich zjednać i wciągnąć do służby wojskowej we własnych szeregach. Powstałe na mocy postanowień Kongresu Wiedeńskiego, Królestwo Polskie przyjęło na swój etat pozostałe oddziały armii Wielkiego Księstwa Warszawskiego. Generałowie tej armii jak Zajączek, Wincenty Krasiński, Hauke i szereg innych obejmują najwyższe stanowiska zarówno w armii jak i w administracji Królestwa a Zajączek mianowany przez cara Aleksandra namiestnikiem Królestwa, zostaje obdarzony godnością księcia. Również w innych zaborach napoleończycy cieszą się powszechnym uznaniem. Sędziwy gen. Dąbrowski osiada w W. Księstwie Poznańskim, jak również bohater Somosierry pułk. Niegolewski. Adjutant Napoleona Aleksander Fredro wraca do Galicji razem z innymi napoleończykami, którzy swymi pełnymi fantazji wybrykami byli utrapieniem administracji austriackiej.

Tak więc nie tylko nie było żadnych represji ale przeciwnie szczere usiłowania, by sobie zjednać przychylność tych wspaniałych ludzi, którzy jeszcze niedawno byli postrachem ich armii. Różne mogły być przyczyny tej konjunktury, ale niewątpliwie zaważył tu ogromny rozgłos i autorytet jaki zyskało wojsko polskie w służbie Napoleona i to jest niewątpliwie największa zasługa, jaką położył on w sprawie polskiej.

Zbigniew Ciekliński

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W numerze 37 „Odgłosów" w rubryce „Polonica" znalazłem wzmiankę o śmierci wybitnego (jugosłowiańskiego) reżysera teatralnego Bojana Stupicy. Autor notatki wspomina wizyty Stupicy w naszym kraju wraz z zespołem Jugosłowiańskiego Teatru Dramatycznego. Publiczności łódzkiej warto może dodatkowo przypomnieć, że tenże Stupica reżyserował gościnnie w naszym Teatrze Nowym sztukę Mirosława Krleży „Bank Glembay". Premiera odbyła się w październiku 1959 roku. Od tego czasu upłynęło 11 lat, ale sporo łodzian zachowało w pamięci rosłą sylwetkę Stupicy i jego charakterystyczną brodę w stylu Hamingwaya (w tym czasie noszenie brody nie było jeszcze u nas rozpowszechnione), zaś w zespole Teatru Nowego nie brak aktorów, którzy pracowali ze zmarłym reżyserem podczas prób „Banku Glembay": Zygmunt Malawski, Hanna Bedryńska, Jan Rudnicki i inni.

Wydaje mi się, że w związku ze śmiercią reżysera Stupicy warto podkreślić te jego związki z Łodzią.

Władysław Orłowski

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„STRASZNE SKUTKI AWARII TELEWIZORA" Jaroslava Papouska to ciąg dalszy „złotej serii" czechosłowackiej kinematografii, która ani myśli poprzestać na dotychczasowych sukcesach. Ich gwarancją jest fakt zupełnie niezwykłej bujności talentów; lista znakomitych twórców powiększa się stale o nowe nazwiska. Wszyscy pozostają wierni jednej idei — odkrywaniu rzeczywistości i codzienności, poszukiwaniu prawdy o człowieku w życiu osobistym i społecznym, jego szlachetności, podłości i głupoty, jego aktywności i martwoty, analizowaniu z pozoru rzeczy drobnych, szczegółów, z których składa się jednakże życie jednostek i społeczeństw, szczegółów natury obyczajowej, moralnej i światopoglądowej.

Jaroslav Papousek scenarzysta wielu znakomitych filmów, realizując samodzielnie „Straszne skutki awarii telewizora", sięgnął do najbardziej typowych dla czeskiej kinematografii obszarów tematycznych. Papousek pozostając w rejonie codzienności i jej rytuału, każe jednak na nią patrzeć przeraźliwie trzeźwymi oczyma. Wierny realności wydobywa z niej bezmiary absurdu, na który składają się pozory poczciwości żywota bohaterów filmu.

Poczciwość tych ludzi to znaczy ograniczoność, przyzwyczajenie, bierność i obojętność na wszystko, co istnieje poza domem. Przerażający sens tej poczciwości ujawnia reżyser dokonując wiwisekcji na wybranej przeciętnej rodzinie.

Rodzina czeskiego taksówkarza przeżyła straszną niedzielę. Awaria telewizora, psując niedzielny rytuał, wygnała ją na łono natury. Pełni sympatii i wyrozumiałości dla słabości ludzkiej postury i charakteru, posiadając głęboką znajomość sytuacji, przyglądamy się leśnym igraszkom dziadków, dzieci i wnucząt. Rytualny porządek wycieczki mieszczuchów burzy naraz wołanie o pomoc. Nasi bohaterowie i inni amatorzy leśnych uciech rzucają się w popłochu do ucieczki. Wśród samochodów wracających do miasta jest i ten, którym jadą Homolkowie.

Resztę dnia spędzimy już z nimi w mieszkaniu, w którym stoi zepsuty telewizor. Nie powrócą już ani słowem do zdarzenia w lesie, po co wracać do sprawy, która mogłaby zakłócić spokój sumienia, zburzyć harmonię życia rodzinnego. To bowiem, iż resztę dnia spędzą na kłótni i obmowie, na wyciąganiu gromadzonych przez całe życie żalów wobec siebie, na wzajemnym czynieniu sobie złą jest dla nich czymś normalnym i naturalnym, bo dzieje się tak zawsze i w ich rodzinie. A rodzina jest słowem wielkim, jest jedyną szansą i możliwością egzystencji w społeczeństwie, którego są najmniejszą komórką. Ona daje im poczucie pewności, jedyny wariant utrzymania tego, co składa się na ich żywot poczciwy.

Choć marzą o innym życiu, tego nie wyrzekną się za nic, bo jest po prostu wygodne. Są przy tym moralni, nie zostawią rodziny, są przecież dzieci, które trzeba wychować na wzór i podobieństwo swoje. Toteż dzień zakończą wspólnym tańcem zgody w rytm finału beethovenowskiej IX Symfonii, a jutro telewizor będzie już zreperowany.

Film Papouska to naprawdę bardzo śmieszna komedia. Nasz śmiech przeradza się w przerażenie, gdy uświadamiamy sobie, iż śmiejąc się nie z kogo innego, tylko z siebie, po wyjściu z kina dołączamy się do owego tańca zgody.

Często mówimy o czeskich filmach, iż odnajdujemy w nich niezwykłą umiejętność łączenia ironii z wyrozumiałością dla ludzkich wad. W ostatnim filmie Papouska, tak jak i w filmie Formana „Pali się, moja panienko", tej wyrozumiałości jednak nie odnajdziemy. Graniczącą z sarkazmem ironia filmu „Straszne skutki awarii telewizora" jest jednakże wyrazem mądrej i zracjonalizowanej troski o człowieka, a więc humanizmu. By wychować człowieka nie można mu pobłażać.

*

Tym z czytelników, którzy przed dwoma laty zachwycali się filmem „Elza z afrykańskiego buszu" pragnę polecić „SŁONIA MARUDĘ". Spotkają w tym filmie Virginię Mc Kenna i Billa Traversa, aktorskie małżeństwo, które podobnie jak w „Elzie", przeżywać będzie egzotyczne przygody wśród dzikich zwierząt Afryki. Sympatyczną Elzę zastępuje równie uroczy, choć mniej drapieżny słoń Pole-Pole.

„Słoń maruda" jest czwartym z kolei filmem reżysera J. Hilla z małżeństwem Travers w roli opiekunów i przyjaciół dzikich zwierząt. Uczciwie jednak przyznam, iż „Elza z afrykańskiego buszu" dostarczała młodym i dorosłym widzom więcej emocji. Akcja obfitowała w bardziej dramatyczne momenty. W „Słoniu marudzie" nie tylko bohater tytułowy jest trochę powolny, akcja filmu toczy się też w zbyt niemrawym tempie.

Miłośnikom egzotyki i wielbicielom afrykańskich zwierząt braki te wynagradzają jednak obrazki z ich życia i piękne pejzaże. Obok słoni oglądać bowiem będziemy nosorożce, bawoły, strusie i rzadko na ekranie widziane dzikie psy afrykańskie. Spotykamy się też ze słynnym stadkiem lwów pana Adamsona, bohaterami poprzednio oglądanego filmu.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

MARY HEMINGWAY

4 czerwca 1944 r. o godzinie 7 rano w londyńskim barze Ritz jak zwykle zebrali się korespondenci wojenni. Wówczas to pewna młoda amerykańska dziennikarka, ładna i szczupła, niedużego wzrostu obwieściła zebranym: „Czeka nas wielkie wydarzenie — „Papa" przybywa z Nowego Jorku latającą fortecą". „Papa" — tak nazywano Hemingwaya. Ową dziennikarką była Mary Welsh, korespondentka czasopisma „Daily Express". Tego wieczora Mary po raz pierwszy rozmawiała z Hemingwayem. Następnego dnia, zaproszona przez pisarza jadła z nim śniadanie. W pewnym momencie Hemingway zajadając właśnie przekąskę, zaproponował Mary małżeństwo. Z początku, jak to dziś wspomina Mary, nie wzięła tego poważnie. Ale małżeństwo z Hemingwayem doszło do skutku w dwa lata potem. Oboje, Mary i Ernest musieli się przedtem rozwieść ze swymi współmałżonkami i w dniu 23 marca 1946 roku w Hawanie Mary została czwartą z kolei żoną Hemingwaya. Odtąd przez lat piętnaście była z nim, aż do tragicznej, samobójczej śmierci pisarza w dniu 2 lipca 1961 roku w Ketchum w stanie Idaho w Stanach Zjednoczonych. Dość obszerny artykuł o obecnym życiu Mary Hemingway przyniósł jeden z ostatnich numerów tygodnika „Paris-Match".

Mary żyje w Ketchum, ulubionej miejscowości pisarza, gdzie spędzali kilka miesięcy w roku (w zasadzie ostatnie lata życia pisarz mieszkał na Kubie), gdzie Hemingway polował i łowił ryby. Mary próbuje prowadzić podobny tryb życia do tego, jaki prowadziła w Ketchum, gdy żył jej mąż. Wstaje rano, choć w zasadzie lubi długo sypiać i spędza cztery godziny dziennie przy maszynie do pisania przepisując rękopisy swego męża. Hemingway zdeponował kiedyś w Hawanie, w jednym z banków 22 kilogramy swych nie publikowanych dzieł. Zawierały one cztery powieści, 19 nowel, 33 wiersze, 11 opowiadań. Ponadto Mary przechowuje wszelkie dokumenty, notatki, listy, między innymi korespondencje pisarza ze swymi kolejnymi żonami.

Do tej pory Mary, jedyna spadkobierczyni praw autorskich Ernesta Hemingwaya, wydała z nie publikowanych za życia pisarza rękopisów, jedną powieść i dwa tomy wspomnień. Liczni czytelnicy Hemingwaya i wielbiciele jego talentu czekają niecierpliwie na dalsze ukazanie się ineditów, ale Mary nie spieszy się z ich publikacją. Podobno grają tu rolę względy podatkowe. Pytano Mary czy opublikuje biografię swego słynnego zmarłego małżonka. Odpowiada, że nie jest w stanie tego uczynić, gdyż Hemingwaya znała dobrze od czasów swego z nim małżeństwa, a jeśli chodzi o poprzedni okres jego życia nie jest w stanie go relacjonować. Również korespondencja Hemingwaya z poprzednimi żonami nie ukaże się nigdy w druku. Pisarz jakoby zastrzegł sobie jeszcze za życia, że korespondencja z jego trzema żonami nie może być drukowana. Natomiast pani Mary Hemingway nosi się z zamiarem publikacji korespondencji pisarza z nią samą. Temu bowiem Hemingway się nie sprzeciwiał.

Miłośnicy twórczości pisarza muszą się uzbroić w cierpliwość. Stopniowo, w miarę jak postępuje praca pani Mary nad przepisywaniem przez nią rękopisów Hemingwaya, będą się ukazywały nieznane dzieła pisarza. Tymczasem Mary otaczając czcią pamięć zmarłego małżonka stara się by mieszkanie w Ketchum miało taki sam wygląd jak za życia Hemingwaya, a ona sama prowadzi tryb życia podobny do tego, jaki pędziła za życia męża. Z zapałem nawet poluje na dzikie ptactwo. Polowanie, jak wiadomo, było obok rybołówstwa, jednym z ulubionych zajęć pisarza w chwilach wolnych od pracy.

Ernest Hemingway z żoną Mary

ZMARLI PISARZE

Ostatnio, w przeciągu bardzo krótkiego czasu zmarło dwóch wybitnych pisarzy o światowej sławie.

W Szwajcarii zmarł niemiecki pisarz Erich Maria Remarque (właściwe nazwisko: Erich Paul Remark). Urodził się w roku 1898 w Osnabruck. Brał udział jako ochotnik w pierwszej wojnie światowej. Został ranny na froncie. Po wojnie próbował swych sił jako muzyk, malarz i pisarz. Opublikował kilka szkiców i opowiadań wojennych. Wykonywał różne zawody. Był księgowym, korespondentem prasowym, komiwojażerem, agentem handlu nagrobkami, szefem reklamy. W latach 1923/24 redagował pismo reklamowe, potem sportowe. W roku 1929 opublikował „Im Westen nichts Neues" („Na Zachodzie bez zmian"), antywojenną powieść, która przyniosła mu światowy rozgłos. W roku 1932 wyjeżdża z Niemiec do Szwajcarii. W następnym roku hitlerowcy potępiają jego twórczość, a jego książki palą. W roku 1937 pisarz wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie w dziesięć lat później uzyskuje obywatelstwo tego kraju.

Wszystkie powieści Remarque'a są oskarżeniem wojny. Do najznakomitszych jego dzieł należą prócz „Na Zachodzie bez zmian" takie powieści jak: „Droga powrotna", „Trzej towarzysze", „Łuk triumfalny", „Czas życia i czas śmierci", „Czarny obelisk", „Noc w Lizbonie". Pisał także utwory sceniczne.

* * *

W wieku lat 74 zmarł wybitny pisarz amerykański John Roderigo Dos Passos, potomek emigrantów portugalskich. Brał udział w pierwszej wojnie światowej jako ochotnik we Francji. Po wojnie był reporterem pism podróżując po Europie, bliskim Wschodzie i Meksyku. W roku 1928 odbył podróż do Związku Radzieckiego. Pisał powieści antywojenne, wyrażał w swych dziełach przekonania radykalno-postępowe. Sympatyzował z lewicą polityczną swego kraju. Najwybitniejszym dziełem Dos Passosa jest trylogia powieściowa pt. „USA", w której pisarz odmalował szeroką panoramę stosunków i procesów społeczno-politycznych i obyczajowych w Stanach Zjednoczonych. W zakresie techniki pisarskiej książka była nowatorska bowiem autor między rozdziały właściwej powieści wprowadził kronikę aktualnych wydarzeń, biografie wybitnych Amerykanów, elementy autobiograficzne. W latach późniejszych pisarz oddalił się od swych postępowych ideałów.

MAUPASSANT W ZWIĄZKU RADZIECKIM

W związku ze 120-tą rocznicą urodzin francuskiego pisarza Guy de Maupassanta moskiewska Biblioteka Literatury Zagranicznej zorganizowała specjalną wystawę. Znalazło się tu trzysta edycji dzieł Maupassanta w językach rosyjskim, francuskim i innych. Dzieła tego francuskiego pisarza zostały wydane w ZSRR 327 razy w nakładzie 14.046.000 egz. w 19-tu językach.

W 75 ROCZNICĘ URODZIN POETY

3 października minęło 75 lat od daty urodzin wielkiego lirycznego poety rosyjskiego, Siergieja Jesienina.

W ostatnich latach w Związku Radzieckim dwukrotnie ukazały się pięciotomowe, zebrane dzieła Jesienina w ogólnym nakładzie miliona egzemplarzy, a ponadto liczne zbiory jego wierszy. W związku z rocznicą urodzin poety prasa radziecka w szeregu artykułów i wspomnień uczciła jego pamięć. I tak np. magazyn „Sputnik" przypomina sylwetkę i twórczość Jesienina, zamieszcza kilka jego wierszy, przynosi zdjęcia, wśród nich Jesienin czytający swej matce wiersze, Jesienin z Isadorą Duncan (która jak wiadomo przez jakiś czas była jego żoną) oraz drukuje notatki Jesienina „O sobie" rodzaj krótkiego życiorysu. Ponadto w numerze znajdujemy wypowiedzi kilku wybitnych radzieckich ludzi sztuki o wielkim poecie.

Miesięcznik dźwiękowy „Krugozor" (nr 9) w części zarówno tekstowej jak i dźwiękowej przynosi ciekawe materiały poświęcone uczczeniu poety. W części tekstowej znajdujemy m. in. wypowiedź Gorkiego o Jesieninie. W części zaś dźwiękowej możemy usłyszeć wspomnienia o Jesieninie ludowego

Siergiej Aleksandrowicz Jesienin (1895—1925)

artysty ZSRR, rzeźbiarza S. Konienkowa, którego pracownię często odwiedzał poeta i który recytował mu chętnie swoje wiersze. Słuchając płyty słyszymy następnie dwa wiersze Jesienina, recytowane przez niego samego. Jest to odrestaurowany zapis dokonany w dniu 11 stycznia 1922 roku.

W tymże numerze znajdujemy ciekawą notatkę o rekonstruowaniu nagrań dokonanych przez Jesienina. Otóż w ostatnich latach w Związku Radzieckim odszukano i odrestaurowano wszystkie autorskie nagrania wierszy Jesienina. Obecnie te odświeżone, przy bardzo dużym nakładzie pracy, nagrania przechowywane są w fonotece Związku Pisarzy Radzieckich. Niektóre z nich zamieszczał już „Krugozor", nadawane też były przez radzieckie radio i telewizję.

Bez strachu

NOC ZAPOMNIANEJ SPRAWY

Wiele jest dni poświęconych sprawom jasnym, konkretnym, sprawom pamiętanym — najczęściej miłym (Dzień Kobiet przypomina nam dobrze przecież pamiętane kobiety), otóż myślę o Zapomnianej Sprawie — sprawie bez kształtu, bez imienia. Zapomnianej Sprawie przystoi raczej poświęcić noc niż dzień... Przez jedną zaplanowaną noc, jedną rocznie, czynić wysiłki przypominania sprawy zupełnie zagubionej. Zapewne po odnalezieniu sprawa ta będzie dla każdego inna. Dla jednego zapomniany motyw muzyczny, dla drugiego zapomniane słowa, dla trzeciego zapomniane milczenie... Po przypomnieniu Zapomnianej Sprawy niejeden zdziwi się, że mógł tak długo żyć bez jej pamięci, bowiem ta sprawa streszcza go i wyraża w sposób najbardziej właściwy, dosadny. Może ta sprawa okaże się raną przypominającego, raną, od której cierpiał, a o której nie wiedział mimo, że ciepło i światło świadomości jest niezbędne do wygojenia, może ta sprawa okaże się chwilą twórczą, momentem udanego dzieła... Ja osobiście swoją Noc Zapomnianej Sprawy spędzam przy ogromnym koszu z wikliny, koszu wypełnionym niezliczoną masą arkuszy papieru, rękopisów ołówkowych i atramentowych, kartek maszynopisu. Wszystko to ułożone starannie i pogmatwane zarazem. Papier... szeleszcząca noc, kiedy piasek mam już w oczach od czytania. Tutaj, w koszu, odnalazłem napisany przed dwudziestu laty wiersz o jarzębinie, który wydaje mi się jedynym moim dobrym wierszem. Usiłowałem sobie przypomnieć wszystkie widywane jarzębiny, jarzębiny widziane na wsi i uliczne, zakurzone jarzębiny miasta. Wydawało mi się w czasie nocnego czytania, że odnalezionym wierszem przedstawiłem jarzębinę w sposób zupełny, kompletny, dałem jej najczystszy model, prawdziwy kształt, zieleń i czerwień. To nieistotne, że to tylko jarzębina, czy też aż jarzębina, ważne jest, że potrafiłem przed dwudziestu laty rzecz w podobny sposób przedstawić wierszem. Myślałem wtedy, dlaczego mam pisać? Wystarczy zamiast pisania szukać w koszu, tam już jest wszystko przed laty napisane, odłożone, zapomniane... Znajdywanie to także twórczość. Każdy ma swój wiklinowy kosz z ukrytą w stertach papieru zapomnianą sprawą. Oczywiście noc mija — jest dzień, są noce, noce snów, noce, które w porównaniu z tamtą, nazwać można zwyczajnymi, conocnymi. Nie jest możliwe podobne przypominanie w ciągu każdej nocy. Są noce bezsenne nie z wyboru, lecz z przymusu, noce czuwania przy kimś kto czuwania potrzebuje. Zbyt mało myślimy o nocach, zbyt mało o nich piszemy, żyjemy codziennym, dziennym życiem — nasz język jest językiem dni, nasze myśli są myślami dni, a przecież my, my, którzy mówimy, my, którzy myślimy, możemy siebie — jak zapomnianą sprawę odszukać tylko nocą.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

PAPIEROWY PROBLEM

BOLĄCZKA WYDAWNICZA — 3 KSIĄŻKI NA JEDNEGO — SMUTNE WSKAŹNIKI — PRODUKCJA I SPOŻYCIE — SKĄD TA LUKA! — RZEKA PAPIERU — CO Z MAKULATURĄ? — ROSNĄ POTRZEBY CZYTELNICZE

Potocznego określenia „papierowy problem" używaliśmy przed laty, aby nazwać sprawę nieistotną, wydumaną, błahą. Coś takiego jak chiński papierowy tygrys. Ale czasy się zmieniają i „papierowy problem" stał się sprawą nader istotną, całkowicie rzeczywistą i bardzo poważną.

Brak papieru stał się bowiem od jakiegoś czasu jedną z największych (obok słabej bazy poligraficznej) bolączek ruchu wydawniczego. Na posiedzeniu sejmowej komisji kultury i sztuki posłowie doszli do wniosku, że pod względem zużycia papieru przeciętny Polak znajduje się w sytuacji o wiele mniej korzystnej, niż mieszkaniec większości nawet średnio uprzemysłowionych krajów świata.

Pozostając jednak tylko w kręgu krajów RWPG musimy z melancholią stwierdzić, że na jednego mieszkańca NRD przypada rocznie prawie 7 książek, w ZSRR i na Węgrzech — ponad 5, a w Polsce — 3.

Tak wygląda sytuacja w wypadku książek. A gazety? Spadamy tu także na coraz gorszą pozycję. To znaczy nie spadamy — nawet wskaźnik się zwiększa, ale bardzo powoli i inne kraje mijają nas lekko w tej dziedzinie. W Związku Radzieckim na przykład wzrost ilości papieru gazetowego na 1 mieszkańca wynosi w latach 1952—1967 — aż 180 procent! W Bułgarii — 150 procent wzrostu, w Rumunii — 108 procent, na Węgrzech — 80 procent, w Czechosłowacji — 120 procent. U nas... zaledwie 5 procent wzrostu.

Ale co tam wskaźniki wzrostu. Spójrzmy na liczby bezwzględne. Otóż w 1967 roku w Czechosłowacji na 1 mieszkańca przypadało rocznie 52 kg papieru, w NRD — 60 kg. U nas... 28 kilogramów.

Najbliższe lata nie zapowiadają radykalnej zmiany na lepsze. W „Prasie Polskiej" Alina Tepli-Kobielska pisze, że wzrost przydziałów papieru przewidziany na lata 1971—1975 dla RSW „Prasa" ma wynieść ogółem 20 tys. ton, podczas gdy w latach 1966—1970 przekroczył on 25 tys. ton. Oznacza to obniżenie tempa wzrostu przydziałów o 25 procent.

Jak wynika z materiałów statystycznych Polska pod względem produkcji papieru zajmuje 17 miejsce w świecie. Pod względem zużycia papieru jesteśmy na 34 miejscu w świecie.

Nie jestem ekonomistą i nie wiem, gdzie w owej luce między 17 a 34 miejscem statystycznym pogrzebany jest problem. Ale myślę, że na co dzień grób tego problemu znajdujemy wszyscy dość często. Oto kupuję w Cezasie lalkę za parę złotych i wydają mi paragon o formacie A-4 w... trzech kopiach. Oto ktoś każe wykonać sobie usługę w stacji TOS i otrzymuje rachunek w trzech kopiach na formacie A-4. Oto setki i tysiące sprawozdań, podsumowań, analiz i ocen, których nikt nie czyta, a które odbija się na powielaczu w tysiącach egzemplarzy. Oto cała rzeka nie kontrolowanej i nielegalnej (z punktu widzenia GUS-u) sprawozdawczości.

Są to — tak jak je widzimy na co dzień — sprawy drobne i ilości papieru niewielkie. Ale przecież w skali kraju urastają one do ogromnego strumienia, który staje się makulaturą prawie w tym samym momencie, kiedy go zadrukowano.

Dobrze — powie ktoś — ale makulatura to też surowiec, można z niej znów zrobić papier i znów zadrukować. Racja, tylko taka zabawa w kółko graniaste nie rozwiązuje problemu, jeśli z makulatury znów zrobimy... makulaturę. Zresztą sprawa nie jest taka prosta nawet z makulaturą.

Oto co pisze „Trybuna Ludu" w artykule pt. „Interes nieszmaciany": „zużycie makulatury jako domieszki do masy celulozowej w produkcji papieru należy u nas do najniższych w Europie i utrzymuje się na poziomie 26 procent, podczas gdy np. w Niemczech dochodzi do 45 procent. Już kilka lat temu specjalny zespół badał ten problem i doszedł do wniosku, że konieczna jest zmiana receptury i profilu produkcyjnego niektórych papierni. Koszt nowych instalacji nie przekroczyłby kilkunastu milionów złotych, a dzięki temu można by uzyskać dodatkowo 0,5—1,5 miliona dolarów". Jaki jest los wniosków specjalnego zespołu, badającego te sprawy — nie wiem.

Nie wykluczone, że do dziś krążą w tej sprawie pisemka między zjednoczeniami, ministerstwami, centralnymi zarządami — że płyną monity, uchwały, oceny i sprawozdania z narad — wszystko to pochłania nowe kilogramy papieru... Rosną stosy zapisanego w tej sprawie papieru, puchną segregatory, pęcznieją szafy.

Nie jestem ekonomistą, ale przypuszczam, że właśnie ta rzeka papieru przechodząca przez dziennik podawczy i maszyny sekretarek wypełnia ową lukę między 17 miejscem w produkcji papieru a 34 miejscem w jego statystycznym spożyciu. Bo przecież żadna statystyka nie zdoła określić ile kancelaryjnego papieru z numerem dziennika i parafą przypada na skołataną głowę mieszkańca Polski.

A potrzeby czytelnicze wciąż rosną. Większość wydawanych książek sprzedaje się „na pniu" i „spod lady", czasopisma sprzedaje się systemem „teczkowym"... W roku ubiegłym na potrzeby wydawnicze poszło 38 tysięcy ton papieru — w roku bieżącym 36 tysięcy ton. Znów jesteśmy „do tyłu" o dwa tysiące ton. A potrzeby czytelnicze rosną...

JERZY WIDOK

THOMAS FLANAGAN

Najlepsze rozwiązanie

Zabiwszy męża, Helena Grendel zatelefonowała do adwokata Timothy'ego Chancel. Pół godziny później Timothy przybiegł zdyszany do domu swych przyjaciół. Wszedłszy do sypialni zobaczył Alexa Grendela na tapczanie kompletnie ubranego.

— Czy naprawdę nie żyje?

— Na pewno. Strzeliłam dwa razy w serce.

— Rewolwer należał do Alexa? — zapytał adwokat, wskazując broń czubkiem buta.

— Pamiątka z pierwszej wojny światowej. Wiesz przecież, iż mój małżonek był starszy ode mnie o dwadzieścia lat. Ale chodźmy porozmawiać w salonie, widok nieboszczyka działa mi na nerwy.

Usiedli na tapczanie. Adwokat poczęstował kobietę papierosem. — Poprosiłam cię do siebie — zaczęła Helena — bo wiem, że jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc.

— Pomóc? W jaki sposób?

— Powiedz mi, co mam teraz robić.

— Pierwsza rzecz — to zwrócić się natychmiast do wybitnego prawnika. To już zrobiłaś. Potem należy zawiadomić policję. Myślę, że najrozsądniej będzie odwołać się do choroby umysłowej.

— Posłuchaj mnie, Timothy. Nie mam zamiaru robić z siebie wariatki, którą zamyka się w szpitalu, kto wie na jak długo!

— Kochana, nie masz zbyt wielkiego wyboru. Ale pozwól mi zastanowić się nad innym wyjściem.

Żeby mu w tym pomóc Helena napełniła jego kieliszek porcją brandy.

— Okolicznością łagodzącą mogłaby być zazdrość. Przypominam sobie, że twój mąż opowiadał z entuzjazmem o pewnej studentce z ostatniego roku, niezwykle zdolnej.

Lodowate spojrzenie kobiety zmusiło go do zaniechania tej myśli. Wypił brandy i ciągnął dalej. — Dobrym argumentem jest obrona konieczna, lecz tutaj nie utrzyma się.

— Może powiedzieć, że to był wypadek z bronią?

— Naprawdę? Czy ktoś uznał by za normalne, że piękna kobieta, o północy, w jedwabnym szlafroku, czyści ciężki rewolwer nie używany od pierwszej wojny światowej?

— Zgoda, lecz pamiętaj, że muszę uniknąć procesu.

— Nie wiem, co ci doradzić, kochanie — mruczał adwokat, odsuwając się od pięknej Heleny w najdalszy kąt tapczanu.

— Timothy, byłeś najlepszym przyjacielem Alexa, teraz masz obowiązek pomóc jego nieszczęśliwej wdowie.

— Tak, kochałem go. Ceniłem sobie wieczory spędzane przy kominku na uroczych dyskusjach o różnych przypadkach zbrodni. A ty robiłaś wówczas na drutach, siedząc obok nas w fotelu... Pamiętasz?

— Pamiętam. — Westchnęła Helena. — Ale myślmy o teraźniejszości. — To powiedziawszy napełniła kieliszek gościa. — Pij przyjacielu, to cię podniesie na duchu. Musisz znaleźć jakieś rozwiązanie.

Adwokat odwrócił wzrok od kobiety, aby skoncentrować się.

— Chodźmy do gabinetu — zaproponowała Helena. — Alexowi tam się najlepiej rozważało. Zabierz z sobą butelkę.

Dwie ściany pokoju zajmowała biblioteka. — Wspaniałe zbiory — westchnął adwokat. Począł wyjmować niektóre z książek i wertować je.

Helena wzięła go pod ramię i zaprowadziła do jednego z foteli przed kominkiem. Sama usiadła na fotelu Alexa.

— Rozumiem, że prosząc mnie o pomoc, czynisz to dla celu słusznego i zgodnego z prawem. Chciałabyś jedynie, abym ci dopomógł w uniknięciu konsekwencji aktu niezgodnego z prawem.

Kobieta skinęła głową uśmiechając się.

— Lecz pomagając ci, stanę się twoim wspólnikiem. Czy nie uważasz, że to przekracza granice obowiązków przyjaźni? Czy nie masz sama jakiegoś pomysłu?

— Nie wiem... A może powiedzieć, że popełnił samobójstwo?

— Niestety, byłaś zbyt agresywna, Alex ma w sercu o jeden strzał za dużo.

— Chciałam być pewna — szepnęła Helena ze skruchą.

— Mamy dwie drogi. Pierwsza — ukryć zbrodnię, druga — wymyślić coś, aby policja wykluczyła możliwość twojego udziału. Przy pierwszym rozwiązaniu trzeba ukryć trupa i następnie usprawiedliwić nieobecność Alexa. Moglibyśmy użyć windy i przetransportować trupa na dół, ale oboje nie posiadamy auta, więc ten sposób odpada.

— Proszę cię, abyś go nie nazywał trupem — oburzyła się Helena. — Mimo wszystko chodzi tu o naszego biednego Alexa.

— Przepraszam. Jako drugie rozwiązanie proponowałbym pozbywać się Alexa stopniowo, znam dobrze anatomię człowieka.

— Timothy! — oburzyła się kobieta. — Proszę mi takich rzeczy nie proponować.

— Masz rację, musimy szukać innego wyjścia, które by usprawiedliwiło zniknięcie poważnego profesora historii i szczęśliwego małżonka. Byłaś zawsze bardzo impulsywna, gdybyś się zastanowiła, nie zabiłabyś Alexa.

— Mylisz się, już nic by mnie od tego nie powstrzymało! Męczyłam się tyle lat!

— A jednak byłaś dobrą żoną. Znosiłaś cierpliwie nas obu, dwie stare mumie, pogrążone w dyskusji nad sprawami, które na pewno strasznie cię nudziły.

Helena pochyliła się w kierunku adwokata, jej orzechowe oczy wyrażały wdzięczność.

Timothy nalał sobie kieliszek brandy i odwrócił wzrok, aby ukryć wzruszenie, co nie uszło uwagi kobiety.

— Gdybyś zwróciła się do mnie przed, a nie po...

— Nie, Timothy. To nie byłoby słuszne, abym wciągała obcych ludzi w moje trudne problemy.

— Obcych! Nie powinnaś uważać mnie za obcego, szczególnie teraz, gdy zostałaś sama! — oburzył się. — Ale zastanówmy się, co można teraz zrobić — rzekł adwokat i pogrążył się w rozmyślaniu.

Helena przeglądała się w błyszczącej powierzchni stolika i zaczęła układać swe czarne włosy opadające na plecy. Próbowała różnych fryzur rozważając, która będzie najlepsza na nowej drodze życia.

Nagle Timothy podniósł głowę. — Czy nie mogłabyś powiedzieć, że Alex został zabity przez jakiegoś nieznajomego, który wtargnął do mieszkania? Gdzie są wasze zapasowe schody? — zapytał.

— W tym pokoju. To okno zasłonięte roletą wychodzi na taras, który przylega do zapasowych schodów.

— Przypuśćmy, że ktoś wszedł tu od strony tarasu. Niespodziewanie natknął się na Alexa i strzelił do niego. Wydaje mi się to zupełnie możliwe.

— Ależ na pewno — zgodziła się Helena. — Prawie go widzę, brutal bez sumienia, zabija naszego kochanego Alexa.

— Ty właśnie spałaś... Obudziłaś się na głos strzałów i pobiegłaś do gabinetu męża. Pamiętaj, musimy wszystko tak ułożyć, abyś umiała odpowiedzieć na każde pytanie policji.

— Zrobię, co każesz. Sama nic bym nie wymyśliła.

Adwokat ukląkł obok trupa i uniósł jego plecy. — To szczęście, że kule utknęły w sercu. Wyciekło mało krwi, nie będzie śladów, że został zabity w sypialni. Trzeba go zanieść do gabinetu.

Upłynęło trochę czasu nim ułożyli Alexa we właściwej pozycji.

— Wymyśliłeś naprawdę doskonały plan! — pochwaliła adwokata Helena.

— To nic trudnego — bronił się skromnie. — W każdym razie ta wersja nie będzie budziła żadnych wątpliwości.

Wrócili do sypialni. Adwokat podniósł rewolwer, zbadał, czy nie jest naładowany i włożył do wewnętrznej kieszeni swej marynarki. — Lepiej, żeby policja nie znalazła broni — wyjaśnił. — Gdzie Alex przechowywał naboje?

Wskazała mu szufladę. Timothy wyjął pudełko i wsunął je do drugiej kieszeni marynarki. Następnie wszedł do gabinetu i wypił kieliszek brandy. Usiadł w fotelu. Rozejrzał się wokoło. Wszystko w porządku! Kobieta usiadła na taborecie u jego nóg i powtarzała monotonnie: — Obudził mnie huk strzałów, rzuciłam się w kierunku gabinetu. Było już po wszystkim!

— Musisz dobrze wysilić swą główkę, jeżeli chcesz, aby ci uwierzyli — upomniał ją Timothy.

— Postaram się — przyrzekła. — Czy wiesz, że Alex wyznaczył cię jako spadkobiercę swej biblioteki?

— Wiem.

— Możesz ją sprzedać. Mówił zawsze, że posiada wielką wartość.

— Sprzedać?! Przecież to jedna z najcenniejszych kolekcji w Anglii. Umieszczę ją w salonie, który przekształcę w bibliotekę. Zrobię półki z ciemnego, dębowego drewna...

— Wróćmy do Alexa. Co jeszcze pozostało do zrobienia?

— Odsunąć rolety i otworzyć okno. Potem, jak tylko odejdę, wezwiesz policję.

— Chcesz odejść? Zostawić mnie samą? Boisz się policji?

— Na pewno nie! Nawet byłbym zadowolony, gdybym mógł odpowiadać zamiast ciebie na ich pytania.

— A ja usiądę na tapczanie i będę płakała.

— Dobra myśl. Policjanci są wyrozumiali wobec objawów prawdziwego bólu.

— Jeżeli tak uważasz...

— Ale przed otwarciem okna musisz rozścielić swoje łóżko. Jest jeszcze nietknięte, a przecież spałaś, gdy strzelano.

— To prawda! Już idę. — Helena wstała. Zbliżywszy się do adwokata pocałowała go w usta. Potem zamknęła drzwi sypialni.

Oczekując jej powrotu Timothy zbliżył się do półek z książkami, które mógł teraz uważać za swoje. Potem rozejrzał się jeszcze raz po gabinecie, poprawił pozycję zwłok i zgasił światło. Poruszając się niepewnie podszedł do ściany: odsunął rolety i otworzył okno. W tym momencie usłyszał głos Heleny.

— Ciemno, pewnie nic nie widać?

— Ani żywej duszy.

— Ulice są puste. — Nagle zdał sobie sprawę ze szczegółu, o którym nie pomyślał. Wstrząsnął się.

— Nie ma tu balkonu ani zapasowych schodów — wyjąkał.

— To bardzo dobrze — stwierdziła Helena i roześmiała się. — Jestem pewna, że wszystko pójdzie dobrze. Już wezwałam policję.

Timothy stał jeszcze przy oknie, gdy policjanci weszli do pokoju i rozbroili go.

Oprac. A. S.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

★ JERZY URBANKIEWICZ — Idiosynkrazja do łososi

★ JAN BĄBIŃSKI — Jeszcze o skrzydłach dla Łodzi

★ BOGUMIŁ PIJANOWSKI — Retrospekcja spoza krat

oraz felietony, recenzje, konkurs, nowela kryminalna.

Lewym okiem

SPRAWOZDANIE

Mimo nawału bieżących spraw służbowych inspektor Przecinek nie zapomina, że jest sekretarzem Koła Przyjaciół Kanarka w naszym biurze. Gdy po przyjściu rano do pracy przewraca kartkę kalendarza na biurku i widzi: 30 września — nie trzeba mu podpowiadać, że czas pisać sprawozdanie z działalności za trzeci kwartał. Zaczyna więc gryząc ołówek, paznokcie i wszystko.

„Na odcinku popularyzacji założeń urządzona została staraniem Koła wieczornica świetlicowa, podczas której wygłoszono pogadankę na temat „Więź z przyrodą jako czynnik i bodziec". W dyskusji zabierało głos osób 5 (słownie pięć), po czym tańczono i śpiewano odnośne pieśni. W zakresie propagandy wizualnej wywieszono gazetkę ścienną, zawierającą trzy fotografie, zagadkę i tytuł z dwudziestu dwóch liter (papieroplastyka). Składki wyniosły..."

Tu następuje szereg cyfr, przekreślanych wielokrotnie, wycieranych i poprawianych. Potem podpisy inspektora Przecinka jako sekretarza oraz przewodniczącego, którym jest...

Przewodniczący Koła koleżanka Przydrożna, przypomina sobie nagle, że sama piastuje także godność sekretarza zakładowego Koła Walki ze Szkodnictwem i że obowiązkiem jej jest pisać sprawozdania. Odkłada więc teczkę z napisem „bardzo pilne" i pisze:

„Urządziłyśmy, to znaczy Koło urządziło, taki wieczór ze śpiewem na rzecz szkodnictwa i z pogadanką. Było pięć osób mówiących (pięć). Koło zredagowało za pomocą specjalnego Komitetu gazetkę ścienną na te tematy i zebrało składki w sumie..."

Koleżanka Przydrożna wzywa skarbnika Koła, ob. Trzykropka. Ob. Trzykropek jedną ręką podaje żądane cyfry, a drugą mierzwi sobie brwi. Czupryny nie może mierzwić, bo nie ma. Kwartał się skończył! — powiada przejmującym szeptem, wraca do siebie i na dużym kratkowanym arkuszu pisze grubymi literami „Sprawozdanie za III kwartał". Albowiem ob. Trzykropek jest sekretarzem Koła Usportowienia. I pisze:

„Działalność Koła w III kwartale w porównaniu do poprzedniego okresu, osiągnęła wynik 3:1. W biurze jest ping-pong, zaplanowane zawody nie odbyły się z powodu braku piłeczek. Natomiast przeprowadzono zajęcia teoretyczne w postaci pogadanki, nawiązującej do sportu w ogóle, jak np. poprzez zdrowie, a specjalnie do piłki nożnej, gdzie był instruktaż o obronie i pomocy. Wszyscy członkowie skorzystali. W celu usportowienia zawieszono również gazetkę ścienną, zredagowaną przez członków koła w zrozumieniu tężyzny fizycznej. Składki zebrano w sumie..."

Sekretarze kół nie są zazdrośni. Dzielą się każdą skrzynką do kwiatów, ramką do ogłoszeń, telefonem do kina po kupony. Kiedy każdy pracownik jest członkiem wszystkich organizacji, to z całą ścisłością można stwierdzić, że:

a) członkowie Koła Przyjaciół Kanarka zredagowali gazetkę

b) członkowie Koła Walki ze Szkodnictwem zredagowali gazetkę

c) członkowie Koła Usportowienia zredagowali gazetkę

mimo, że będzie to wciąż ta sama gazetka, o której nasz woźny ob. Węzełkiewicz powiada: te, co wisiała rok koło gaśnicy, wzieli na frontowe ściane. Nikt się — patrzcie — nie połapał!

A o zebraniu w świetlicy mówi ob. Węzełkiewicz: „Faktycznie było ich pięć osób. Oberwali girlande a co oprócz tego robili nie wiem" I to jest jeszcze jedno sprawozdanie, nie mniej ściśle od wszystkich poprzednich.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Kopřowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy). Konrad Frejdlich (dział publicystyki). Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu). Celina Paluch (redaktor techniczny). Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny). Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2029. H-5